№ 29. Warszawa, dnia 21 (9) Lipca 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Widmo zarazy.

Groźny wybuch cholery w Egipcie i obawa przeniesienia jej do Europy skłoniła wszystkie państwa naszego lądu stałego do przedsięwzięcia i zaprowadzenia energicznych środków ochronnych.

Rząd rosyjski, którego porty czarnomorskie zostają w bezpośrednich stosunkach z przystaniami Egiptu i kanałem suezkim, przyjmuje udział w danej sprawie—tem skwapliwiej, że Ukraina, Podole i inne okolice południowe Cesarstwa nieraz już srodze ucierpiały od strasznej, przeniesionej ze Wschodu zarazy.

Obecnie zarząd Odeskiego Towarzystwa żeglugi i handlu, jak również innych kompanij, utrzymujących stałe stosunki pomiędzy portami morza Czarnego a Konstantynopolem, oraz przystaniami Azyi Mniejszej i Afryki północnej, zobowiązane zostały do utrzymywania, przez cały czas trwania epidemii, stałych lekarzy na pokładach swych statków. Parowcom zaś floty ochotniczej, płynącym na Ocean Wielki lub z powrotem, zabroniono całkiem zatrzymywać się w tych portach egipskich, w których panuje cholera. Prócz tego wstrzymano wydawanie paszportów zagranicznych wszystkim poddanym rosyjskim wyznania mahometańskiego, chcącym odbyć pielgrzymkę do Mekki. Ustanowiono wreszcie kwarantannę siedmiodniową, oraz ścisłą obserwacyę wszystkich okrętów, przybywających do portów morza Czarnego z wybrzeży egipskich i w ogóle śródziemnomorskich. Słowem zarządzono i wprowadzono niezwłocznie w wykonanie wszelkie możliwe środki ostrożności.

Cholera, pod względem epidemiologicznym, przedstawia tę szczególną właściwość, że istnieje oddawna wyłącznie w Indyach Wschodnich i to w pewnych jedynie okolicach Bengalii. We wszystkich zaś innych miejscowościach—zarówno Indyj, jak i globu całego, zaraza ta pojawia się tylko czasowo. Punktem jej wyjścia jest zawsze Bengalia. Od r. 1874, aż do chwili obecnej, cały ląd stały Europy wolnym był od cholery, i w tym czasie najgorsze nawet warunki zdrowotne nie były w stanie wyrodzić zarazy, zdolnej do rozprzestrzenienia się epidemicznego. Podczas upałów letnich, prawie corocznie, głównie w skutek używania wody nieczystej za napój, oraz nadpsutych i niedojrzałych produktów żywności — pojawia się choroba, podobna do cholery, zwana cholerą europejską. W chorobie tej przytrafiają się wszelkie przypadłości, właściwe cholerze azyatyckiej; niekiedy pociąga ona i śmierć za sobą, nie jest wszakże tak straszna i niebezpieczna dla mas ludności, choćby zapadła na nią większa nawet ilość osób; podczas gdy pojawienie się na naszym lądzie stałym jednego pacyenta, zapadłego na cholerę azyatycką zagraża szybkim rozwojem najstraszniejszej epidemii w wielu miejscowościach, jeśli nie uda się od razu stłumić zarazy, znaną przyniesionej drogą. Niedopuszczenie chorych, lub rzeczy, zarażonych tą epidemią, na stały ląd Europy stanowi obecnie główną troskę jego rządów. Jeden tylko angielski nie wprowadza systemu kwarantanowego, uważając go za bezsilny i niezdolny zapobiedz przenoszeniu zarazy. Anglia wzmacnia tylko nadzór sanitarny i kontrolę nad okrętami, pozostawiając otworem przystanie swoje dla wszystkich statków, nadchodzących z czterech stron świata. Przyznać nawiasem trzeba, że w ciągu praktykowania tego systemu, żadna jeszcze w podobnem rodzaju klęska na Anglię nie spadła; przyczynia się on owszem do coraz większego doskonalenia środków zdrowotności publicznej. Przy należytej organizacyi służby zdrowia, żadna z chorób epidemicznych nie dosięgła w Brytanii tak groźnego rozmiaru, jak to się zdarza gdzieindziej, śród przeciwnych wprost warunków.

Na szczęście w roku bieżącym cholera nie okazuje dążności do szybkiego rozszerzania się. Pomimo to, gwałtowny rozwój zarazy w Egipcie — silnie zagraża przeniesieniem się jej na stały ląd Europy. Czy cholera znajdzie dla siebie odpowiedni grunt na północnych wybrzeżach morza Śródziemnego, tego obecnie przewidzieć nie można. To tylko pewna, że po przeniesieniu zarazy na stały ląd Europy i z rozwinięciem się jej w jakimbądź punkcie, wszelkie środki kwarantanowe będą już bezużyteczne, a wtedy kraje kontynentalne pójdą z konieczności za przykładem Anglii, t. j. pozostawią epidemii wolny dostęp do ziem zaludnionych, przedsiębiorąc jedynie lokalne środki, w celu złagodzenia i usunięcia klęski.

Ścisłe przestrzeganie czystości mieszkań i dziedzińców, dobroci i świeżości produktów spożywczych, wody, używanej do gotowania pokarmów, a zwłaszcza do picia; organizacya uprzedniej inspekcyi lekarskiej, w celu niesienia natychmiastowej pomocy osobom, dotkniętym chorobami kanału pokarmowego; energiczna wreszcie desinfekcya wszelkich odchodów podejrzanych; sanitarna kontrola domów i mieszkań niezdrowych — oto szereg ostatecznych środków, mogących w danym razie najskuteczniej przyczynić się do usunięcia epidemii cholerycznej i zmniejszenia liczby ofiar.

S. C.

Stanisław Trembecki
(p r o f i l).

W szeregu „klasyków polskich,“ wydawanych nakładem Altenberga, ukazuje się dziś na widowni typowa postać poety-dworaka*). Jest-to pierwszy tom przedruku znanej wiązanki utworów koryfeusza zeszłowiecznego, uszczuplonej przez usunięcie kilku drobnostek, bezzasadnie, jak mniemają, przypisywanych Trembeckiemu (np. *Snycerz*, *Ma pan rozum* i inne), a zbogaconej natomiast pewną liczbą wierszyków, które stanowiły dotąd w rękopisie cząstkę martwego kapitału trzech poważnych bibliotek (Ossolińskiego, Akademii umiejętności i J. E. p. Pawła Popiela). Nową edycyę poprzedza wstępne słowo dra Teofila Ziemby — zbiór uwag dorywczych o życiu, pismach, wydaniach, oceniaczach i wielbicielach Trembeckiego. Na pierwszy plan wysunięto w niej *Zofiówkę*. Po tem dziecięciu zgrzybiałej starości, pseudo-antyku rzeźbiarskim następują kolejno: *Polanka*, *Powązki*, bajki, listy i „wiersze rozmaite.“ O wydaniu samem trudnoby już było coś ciekawego powiedzieć. *Zofiówka* posiada, prawda, oparty w części na objaśnieniach hrabiego de Lagarde**), komentarz Mickiewiczowski z r. 1822; ale inne utwory są niemal całkiem pozbawione dopisków, a co gorsza, od dawnych i świeżych błędów korektorskich bynajmniej nie wolne (przytoczymy tu tylko, sposobem przykładowym, pokutującą we wszystkich edycyach, błędną datę śmierci Michała Czartoryskiego, k. w. l.***): „r. 1774“ — zam. 1775). Warto wreszcie nadmienić, że i cenny elaborat Mickiewicza (przedstawiający skądinąd materyał do pożądanej rozprawy: „Mickiewicz, jako erudyta“) nie czyni już zadość potrzebom dzisiejszym; nie zamyka bo w sobie wykładu wielu wyrazów, przed sześćdziesięcią laty zrozumiałych dla ogółu, ale obcych żyjącym pokoleniom*). Nowe to więc wydanie pism Trembeckiego będzie, jak przypuszczamy, bardziej, niż wszystkie poprzednie, do *zupełnego* zbliżone — dalekie wszakże od dokładności, któraby ułatwić mogła szerokiemu kołu czytelników zapoznanie się bliższe z wytwornym i treściwym, a więc trudnym do zrozumienia pisarzem. Zewnętrzny wygląd natomiast — papier, druk i okładka — nie wiele do życzenia pozostawiają.

Przypatrzmy się teraz umysłowo-moralnemu obliczu dworaka-poety, którego pisma odświeżono w tej niedoskonałej, co prawda, ale dość ponętnej i ulepszonej edycyi.

Proszowianin z urodzenia, dziedzic dwu wiosek, leżących w pobliżu Działoszyc (Jastrzębnik i Zielonek), wcześnie, jak przypuszczam, osierociał. Strawiwszy na nauce (ostatecznie we wszechnicy Jagiellońskiej) lat kilka, a na marnych podróżach po obczyźnie—kilkanaście, „otarty w świecie,“ kobieciarz, osławiony „zabijacz margrabiów,“ („tueur des marquis“), ponętny, ale bierny, jak się zdaje, szeregowiec w armii filozofów salonu Geoffrin, czy du Deffand, skończony wreszcie kosmopolita, powraca zubożały około 1770 r. do Polski, by dzięki dowcipowi i stosunkom — otrzymać wygodną synekurę, posadę szambelana królewskiego. Tu się kończy doba działalności (?) salonowo-rycerskiej, a zaczyna okres dworactwa przy boku Stanisława Augusta. Trembecki mógł zaprawdę napisać wtedy na ścianie swego gabinetu (podobnie jak bohater *Dziadów* na murach więzienia): *Hic obiit* „comte de Prusse...“ **). Chociaż nie schodził z obranej drogi, nie tracił właściwego sobie charakteru, przełom w życiu był widoczny. Tułacz — osiadał na dworze, „wolny strzelec“ zaprzedawał ciężącą już swobodę ukochanemu monarsze, wietrznik zaczął pozować na męża stanu. Mógł mieć wówczas lat niespełna *50*. Dziwnym się zaprawdę wydaje tak późny zwrot w historyi ludzkiego orgnizmu; ale sam on podobno mawiał, że w tym dopiero wieku porzucił wesołe błonia młodości. Jakie wypadki sprowadziły zmianę, nie wiemy; przypuszczać wszelako należy, iż wyczerpaniu materyalno-fizycznemu pomógł los dobroczyńca. Do nowej roli—*stałego* dworaka przy Stanisławie Auguście, należało próbować zdolności twórczych, na skinienie pańskie dosiadać Pegaza. Czy łatwo mu to przychodziło? Alojzy Feliński pisał później: „Zda się, że nie ty rymu, lecz rym ciebie szuka!“ W pierwszych atoli chwilach ciężko było, przypuszczam, osiwiałemu, a oddychającemu długo powietrzem zagranicznym dworakowi wdzierać się na Parnas: dowcip, zaostrzony w miłosnosalonowej praktyce, łamać się musiał z naturalnemi przeszkodami... Ale trudno: gdy świeci słońce, cień musi iść za człowiekiem, a Trembecki był cieniem Augusta. Okoliczności i wola ukoronowanego encyklopedysty wpłynęły magnetycznie na starego kawalera, stworzyły poetę; inaczej nie moglibyśmy sobie wytłomaczyć ani zbyt opóźnionej aplikacyi w zawodzie rymotwórczym, ani zadziwiająco małej płodności autora *Zofiówki*.

„Najpierwszym jego dziełem (powiada Niemcewicz w swym *Pamiętniku*) była dytyramba z okazyi ozdrowienia królewskiego z odniesionej od konfederatów rany,— prawdziwie liryczna banialuka, pełna jednak wieszczego ducha...“ *). Wiersz, o którym tu mowa, znany pod nagłówkiem: *Na dzień siódmy września*, a ułożony ku uczczeniu rocznicy elekcyi królewskiej (prawdopodobnie pod epokę sejmu dwuletniego), zdradza niemałe wyrobienie pisarskie, co kazałoby przypuszczać, iż Trembecki długo w ciszy ducha przygotowywał się do pierwszego występu. Odtąd w ry-

---

*) *Biblioteka klasyków polskich*, VII: Pisma Trembeckiego, tom I—we Lwowie, 1883.

**) Przebywający niegdyś na Wołyniu emigrant-legitymista, który przyswoił literaturze francuskiej *Zofiówkę* w formie wiązanej, na podstawie przekładu prozaicznego, dokonanego przez autora.

***) W nagłówku, na str. 154.

*) Do takich należy np. *belt* (strzała), *brus* (osełka) i t. p.

**) Pod tym tytułem, jeżeli wierzyć można *Pamiętnikom* Michałowskiego, Trembecki awanturował się po Europie.

*) Kiedy Tr., jako pisarz wystąpił na widownię — z całą ścisłością oznaczyć niepodobna. Zauważymy wszelako, że i potem długo on jeszcze nie był widać uważany przez ogół za wybitną osobistość, kiedy bezimienny autor *Pochwały historycznej St. Augusta* (*Eloge historique... par un Citoyen*), wydanej w Warszawie 1785 r. nic o nim nie wspomina, chociaż mówi o Naruszewiczu, Krasickim, ks. Ad. Czartoryskim i innych.

---

2)

Małżonkowie Mistress Skaggs.

Bret-Harte'a.

Droga ich wiodła wzdłuż Table Mountain. Błędny-to, samotny szlak dziewiczy — rzekłbyś— i stopą ludzką nietknięty, gdyby tu i owdzie niewalające się skorupki ostryg, kawałki szkła potłuczonego, porwane szmaty papieru i tym podobne odpadki cywilizacyi. Do potrzaskanego pnia olbrzymiego drzewa przylgnęły szare kudły, pozostawione przez niedźwiedzia, a pod krzakiem, naprzeciw, złociła się etykietka na pustej butelce. Z pod złamanego pudełka od tytoniu, ozdobionego fotografią wziętej jakiejś tanecznicy, wysuwała się głowa grzechotnika. Droga ta wiodła do gruzów zbruzdżonych, popękanych. Porozrzucane, źle ociosane belki, koryta, upusty, żwir, błoto, trzaski, i rzucona od niechcenia lepianka, znamionowały mieszkanie Johnsona.

Lepianka służyć miała za schronienie od zimna i niepogody, zresztą odpowiadała najzupełniej miejscowemu krajobrazowi; było to legowisko ludzkie po prostu, o wiele mniej ozdobne i schludne, niż legowiska wielu czworonożnych. Ptaki, które tu zlatywały za pożywieniem, napełniały powietrze świegotem, dziwując się jakoby tej pierwotnej architektonice. Nieschludne to było, chociaż obszerne, zatęchłe, chociaż materyał świeży był i surowy, a jeśli w dnie pochmurne mrok tu zalegał głęboki, w dnie słoneczne za to — promienie słońca natrętne jakoś i rażące bywały. Owocem pracy, której się Johnson w rzadkich chwilach trzeźwości oddawał, były bezładne wyżłobienia w skłonie góry, jamy, przykryte nagromadzonem śmieciem, groty, nieudolne podziemnej galeryi próby, które w danej chwili okazać się mogły przecie przydatnemi. Na zewnątrz słońce — olśniewające a bezbarwne — grzało, paliło raczej do tego stopnia, że się aż wywinęły w górę skrzydła dachu, z kory skleconego, a jodły—łzy żywiczne roniły; w wydrążonej w skale grocie, do której Tom wprowadził Johnsona, chłodno było. Tu i owdzie wilgoć, zbierająca się we wklęsłościach skały, utworzyła małe kałuże — ze ścian popękanych sączyły się perliste krople wody.

Johnson i Tom z widocznem zadowoleniem rzucili się na skalistą, mokrą ławę. Przez chwil kilka milczeli, oddychając ciężko i patrząc obojętnie na żar słoneczny, od którego ujść zdołali.

Cobyś powiedział—przemówił wreszcie, w dal słoneczną zapatrzony Johnson — cobyś powiedział o małej partyjce? Tak naprzykład stawka... tysiąc dolarów?

— Ej, tysiąc — nie zwracając nawet spojrzenia, obojętnie odrzekł chłopiec. Gdybyś przynajmniej, wuju, powiedział: pięć tysięcy...

Johnsn zdawał się rozważać, po chwili zaś:

— A cóż ci winien jestem?—spytał.

— Sto siedemdziesiąt pięć tysięcy i pięćdziesiąt dolarów, bez zająknienia odrzekł Tom.

Stary ważył w myśli.

— Zgoda — odrzekł—jeśli wygrasz, będzie okrągłych sto osiemdziesiąt tysięcy... Nie więcej! Gdzie karty?

Karty znajdowały się w starem pudelku, umieszczonem w wyżłobieniu skały, tuż ponad głową Johnsona. Karty stare, brudne, lepkie. Rozdał je Johnson niepewną ręką, z wysiłkiem, grając zaś, kręcił tak wyraźnie, że się aż Tom odwracać musiał i pokasływać; wkrótce zachęcony przykładem, dla zrównoważenia szansy od czasu do czasu dobierał też sobie lepszą kartę, w ten sposób ślepej dopomagając fortunie. Gra ciągnęła się leniwo. Johnson wygrywał. Wyciągał z kieszeni pugilares i kreślił ołówkiem drżącą ręką niewyraźne hieroglify. Gdy wreszcie grać przestali, wyciągnął z kieszeni coś na kształt odłamka czerwonego kamienia.

— Jeślibyś — począł, podsuwając kamień ów do chłopca — a twarz jego przybrała znów wyraz przebiegłości — jeślibyś, mówię, znalazł przypadkiem tę oto rzecz, co byś pomyślał, hę?

— Niewiem — lakonicznie odpowiedział Tom.

motwórczych pracach szambelana żadnego już nie widać rozwoju. Są tylko chorągiewkowe zwroty, najściślej zależne od powiewu sztandarów polityki dworskiej. W próbie tej, najeżonej na wstępie, jak wszystkie panegiryki starego pokroju, zbroją mitologiczną, zwraca się autor (o, godna podziwu bezczelności!) do... *prawdy*, *jedynej pióra kierowniczki*, aby pod tą tarczą wystawić na widownię cały szereg kłamstw, rzetelnemi zresztą, tu i owdzie przeplatanych świadectwami. Wątpię też, czy wierzył ktokolwiek zapewnieniu poety: że Stanisław August już „w rannych leciech *niesmakował w rozrywkach* z innemi chłopięty,“ że następnie „słan do mocarstw ościennych, *wielkie* oddał *przysługi* Rzeczypospolitej,“ że *jednomyślnie* królem został obrany, że nadewszystko — „marnie nas rujnujące chcąc wstrzymać wydatki, w *strojach powściągliwości* daje przykład rzadki...“ Słusznie natomiast chwali monarchę za reformatorskie dążności i krzewienie światła w narodzie; ale wynosząc pod niebiosa jego Tytusową łagodność, a nakazujący milczenie majestat, zapomina, gdzie jest, i niby u stóp rzymskiego półboga — pean uwielbienia składa *). Najważniejszą częścią panegiryku jest—mający na celu wyjaśnienie dziejowe klęsk ostatnich, nacechowany nieposzlitą bystrością, rzut oka na stopniowy upadek Polski, od śmierci ostatniego z Jagielonów aż do chwili obecnej. Autor *Portretów literackich*, L. Siemieński, słusznie się tym wstępem zachwyca; pogląd historyczny w samej rzeczy przynosi zaszczyt poecie; ale, niestety, nie jest oryginalnym płodem jego umysłu. Należy prawdopodobnie do króla. Trembecki śpiewa:

„Ta powódź, która dzisiaj rwie sarmackie grunta,
Wypływa z powolności miękkiego Zygmunta...“

A w dyaryuszu sejmowym z r. 1776 jest konkluzyjna mowa kanclerza „od tronu,“ gdzie znajdujemy ten sam punkt wyjścia, to samo rozumowanie, z większą bez porównania jasnością rozwinięte i szczegółami zbogacone. Skądinąd wiadomo, że Trembecki nie miał bynajmniej zmysłu dziejopisarskiego. Akademia umiejętności w Krakowie posiada wprawdzie autograf szambelana, „zawierający urywkowe studya nad historyą polską,“ ale, jak poinformowany dobrze dr. Ziemba utrzymuje, „wartość pracy tej jest tak mała, że ogłoszenie jej nie przyniosłoby sławy autorowi.“

Był on więc tylko w szczęśliwszych działalności swej chwilach dowcipnym panegirystą i z poza egidy możnego patrona celnie strzelającym do bezbronnych satyrykiem. Znacznie od poprzedniego słabszym jest wiersz „do króla, powracającego z podróży wołyńskiej“ (1781), przedsiębranej dla widzenia się w Wiśniowcu z wielkim księciem Pawłem. Obsypując Stanisława Augusta wonnem kwieciem pochwał, wraz z oświadczeniem tęsknoty składa hołd wiernopoddańczy („Oto *niższa kolanem* Warszawa cię wita...“) i radosnemi okrzykami, pełnemi różowych nadziei pozdrawia zawiązek „stałej przyjaźni z synem nieśmiertelnej matki,“ niby wschodzącą jutrzenkę „*nieprzerwanej zgody*“ dwu narodów pokrewnych. Wiersz do Naruszewicza z r. 1787, poświęcony przeważnie „Wielkiej Monarchini“ i pieśń „na przyjęcie Stanisława Augusta w domu Pawła Popiela“—przedstawiają dalsze rozwinięcie tego samego tematu. Szambelan szedł po omacku za prądem polityki dworskiej: wycieczka do Wiśniowca nastroiła jego lutnię na ton radosny; podróż kaniowska wprawiła w entuzyazm, uniosła na szczyt czołobitnego panegiryzmu. Pośrednim ogniwem, łączącym ody z 1781 i 1787 r., jest pochwalna apostrofa p. n. *Gość w Heilsbergu* (1784), rzucona do stóp księcia Warmińskiego, w chwili, gdy zajęcie Krymu przez Rosyę uważano za hasło bliskiej wojny wschodniej. Poeta, idąc za natchnieniem swej Egeryi w koronie, marzy o tem, iż naród polski przyjmie wkrótce udział w boju,—przeważy (!) nawet szalę zwycięstwa, jeżeli tylko roztropnie sobie pocznie, a poradzi się „Minerwy“ europejskiej, „którą świat pod imieniem wielbi Katarzyny.“ Ale niebawem wiatr z innej zawiał strony: w epoce sejmu czteroletniego rymujący organ króla przestał palić kadzidła na międzynarodowym ołtarzu słowiańskim. Wierszowane pamflety Trembeckiego są w tej dobie bladą podobizną „głosów“ Stanisława Augusta, przechylającego się z konieczności na stronę konstytucyonistów. Chwali on po dawnemu króla, a widząc dobre czynów jego skutki, przemawia do współziomków.“

„August raczył powszechniej światło rozprowadzić,
I myśleć nas nauczył i po trzeźwu radzić,
I ta jest między nami najdzielniejsza młodzież,
Co nosiła wojenną jego szkoły odzież.“

Jest-to zaprawdę jedna z najsłuszniejszych i najsamodzielniejszych zarazem uwag Trembeckiego. Podobnie, jak sam Stanisław August, gorszy się jego wierny organ bijącą w oczy prywatą i zbyt przedłużonemi na sejmie sporami:

„Nigdy dobrańszych posłów nie miała Warszawa,
Ich cel — ojczyzny dobro, ich nagroda — sława.
Ale jeśli na sporach czas wycieńczą marnie,
Jeśli wzgląd osobisty serca ich ogarnie,
Jeśli granic obrony silnej nie wyznaczą,
. . . .
Jeśli ta góra w ciąży śmieszną myszkę zlegnie,
Już mię o szczęściu Polski nadzieja odbiegnie.“

Odwróciła się karta historyi: burza 1792 r. obala wątły, nieoparty na silnych fundamentach, budynek majowy: Poniatowski schyla głowę przed Szczęsnym; reakcya zwycięża... A Trembecki? Jak stał, tak stoi, owszem — potężnieje: mimo tytułu dworaka i przywiązania do króla, wchodzi w skład... Cenzury, ustanowionej przez konfederacyę Targowicką *). Na takie względy, przyznajmy, szambelan-poeta ze wszech miar zasłużył: w dobie sejmu czteroletniego, daleki od manifestacyj, chociaż temu lub owemu z „patryotów“ przyklasnął, zachowywał zawsze ton umiarkowany, a jeśli gotów był skazać bodaj na chłostę nieprzyjaciół konstytucyi 3 maja, to chyba tylko takich, co, jak Wojciech Turski, marzyli o ładzie ściśle republikańskim i sprzyjali rewolucyi **). *List do posłów, powracających z Grodna 1793 r.* jest wyrazem *niższej*, że tak rzekę, temperatury ówczesnego w społeczeństwie ustroju. Wstępny czterowiersz jaskrawym fałszem rzuca się w o-

*) „*Skąpy krwi ludu twego*, ukochany ojcze!“
. . . .
„Jedno miał takie serce Bóg, drugie dał tobie...“

*) *Wewnętrzne dzieje Polski za St. Augusta*, przez T. Korzona — t. I, str. 12.

**) Patrz: *Joannes Sarcasmus—przeciw sukcesyi*.

— Myślałbyś może — ostrożnie, ważąc słowa, ciągnął stary — myślałbyś, że to złoto, hę? — a może srebro, hę?

— Ani to, ani tamto — odrzekł Tom.

— A może byś myślał, że to cynober, hę? I cobyś powiedział, gdyby, naprzykład, wuj Ben wiedział, gdzie się to znajduje, skąd można tego wydobyć dziesięć tonn dziennie, każda po dwa tysiące dolarów... Co byś na to powiedział, hę?

— Ale — rzekł chłopiec — gdybyś wiedział coś o tem, wuju Ben...

Johnson obejrzał się, głos zniżył.

— Wiem, Tomy, wiem! Pokłady — ale, mówię ci, skarby! Jużem posłał próbę do Frisco; za dwa, trzy dni, agent przybędzie.

Mówiąc to, nie spuszczał niespokojnego, badawczego wzroku z chłopca, lecz ten najmniejszego nie okazał zdziwienia, lub niedowierzania, chociaż mógłby napomknąć coś o odnoszących się do tej kwestyi drwinach Yuba Billa.

— Nikt się ani domyśla — ciągnął poufnie stary — nikt nie wie, oprócz mnie, ciebie i agenta we Frisco. Widziano, jakem kopał ziemię: „Śmiecie“ — wołano, i śmiano się ze mnie. Widziano, jakem się walał pijany po szynkach i drogach, i śmiano się: „Na kawał wzięty!“ — mówiono... A może—spytał nagle—a może i teraz tak mówią, jak sądzisz, Tom?

Tom wzniósł oczy, obojętnie wstrząsł głową i rzucił kamieniem w przemykającego przed grotą zająca.

— Gdym cię, Tomy, po raz pierwszy ujrzał — ciągnął uspokojony Johnson — pamiętasz, wówczas, kiedyś mię nieznajomego na drodze podparł, do studni zawiódł i zimną oblał wodą, powiedziałem sobie: Johnson! ten chłopak drwić z ciebie nie będzie — nie będzie — zaufać mu możesz. Pyszczek biały, kwadratowy, kwadratowy, biały pyszczek, własne to są moje słowa, Tom...

Zatrzymał się, a potem coraz poufniej, rzewniej:

— Johnson! mówiłem sobie. Czego ci potrzeba? Kapitału i wspólnika. Kapitał będzie, a wspólnik już jest: nazywa się Tom Islington... Tom Islington, własne to moje słowa, własne, Tom.

Zatrzymał się, trąc o kolano wilgotne swe dłonie.

— Przed sześciu miesiącami—ciągnął—sporządziłem kontrakt spółki; znosząc się z agentem, pisałem w swojem imieniu i w imieniu wspólnika mego, Toma Islingtona. Czy wspólnik mój dorosły, czy dziecko, to do agenta nie należy. Nic mu do tego.

Przysunął się do chłopca, położył mu pieszczotliwie rękę na głowie; w widocznem jednak przywiązaniu tem do dziecka przebijała się nieśmiałość pewna, niby niejasne poczucie dzielącej ich przepaści. Czuł i rozumiał, że w zwróconem nań spojrzeniu chłopca, był spryt, wesołość, rozwaga, czasem przebłyski kobiecej niemal tkliwości, ale nic nad to, nic, zaufania ani śladu. Powiększyło to jego nieśmiałość. Zmieszany, zdenerwowany, starał się zapanować nad sobą, lecz drżały mu wargi i ręce.

— Mam — mówił — kontrakt spółki z tobą, Tom! Jest i rachunek przegranych do ciebie w karty dwustu czterdziestu tysięcy dolarów...

Trudno wyobrazić sobie, jak pełen przebiegłości wyraz twarzy miał Johnson, wymawiając te słowa.

— Dwieście czterdzieście tysięcy dolarów, przegranych do ciebie w karty — powtórzył. Mam i testament!

— Testament — zawołał wesoło Tom.

Johnson drgnął, przelękł się.

— Hę, co mówisz, jaki testament? Kto o testameocie wspominał, hę?

— Nikt—bez wahania odparł Tom.

Stary drżącą rękę podniósł do czoła, starł zimne krople potu i mówił zcicha:

— Widzisz-bo Tom, gdy ze mną tak, jak dziś, naprzykład, bywa, ludzie mówią: „Wódka to, spirytus go pali!“ Nie, Tomy, nie! Nie wódka to, nie spirytus, ale merkuryusz, mówię ci, Tomy, merkuryusz! Wchłaniałem cynober wszystkiemi porami; przepełniony nim jestem.

— Kiedyś słyszałom o czemś podobnem— ciągnął—i tyś słyszał zapewne o tych, co pracując w fabrykach z cynobrem, wychodzą merkuryuszem opchani, przepełnieni.

— A czy jest na to lekarstwo? — spytał Tom.

— Jest, naturalnie że jest. Słuchaj. Przybędzie agent z Frisko, akcye nasze pójdą w górę, zobaczysz, jak od razu pójdą w gó-

czy: niefortunnych bowiem posłów porównywa autor z resztkami legionów rzymskich, przybyłych do Rzymu po bitwie kanneńskiej, gdy sam — odgrywa rolę pozdrawiającego senatu... Odmawia on im wprawdzie charakteru niezłomnej uczciwości *), ale główną winę (co chętnie podpisujemy) zwala na członków sejmu wielkiego—za to, że nazbyt ufali „włochowi“ (Lucchesiniemu), zerwali z Rosyą, a zawierzyli Prusom. Dla króla tu już pochwał nadmiernych nie stało; jest tylko lekka zasłona przed *oszczercami*, podającymi Stanisława Augusta za głównego sprawcę klęski. W końcu wierszowanego pamfletu przezorny dworak rzuca na przeciwny brzeg odkrywającej się przepaści—naprędce z kilku dowodów etnograficznych sklecony pomost, na którym dwa ludy słowiańskie ślub braterski zawrzeć, czy odnowić mają:

„Z tegoż się, co my, szczepu rosyanin rodzi—
Równej mu się odwagi uwłóczyć nie godzi...“ etc.

Przekonania te, wraz z sympatyą plemienną, zachował Trembecki do końca życia; ale przeciw pamięci dobroczyńcy ciężko, jak mniemam, zawinił, wprzęgając się potem do rydwanu chwały magnata, który był najzaciętszym nieprzyjacielem Poniatowskiego. Dług wdzięczności względem króla szambelan-poeta niewątpliwie zaciągnął. Wobec znanych faktów, arcydziwnym wydaje mi się gdy Lucyana Siemieńskiego, który ze szczególną predylekcyą kreśląc portret wierszopisa, łzy roni nad jego bezinteresownością: „Zostając tak długo przy boku królewskim mógł był, powiada, pamiętać o sobie, nałapać upominków, pensyjek, zapewnić sobie intratne dożywocie... Powie kto: hulał, tracił; lecz kto żył trybem pitagorejczyka, kto wcale zaniedbaną miał tualetę, a nawet modzie nie hołdował,... ten niewiem, na co by miał tracić.“ Cóż na to odrzec? Nikt chyba nie wątpi, że posada podkomorzego królewskiego była synekurą, aż nadto wygodną dla takiego, jak Trembecki, dworaka z powołania. Regestru upominków nie prowadził on zapewne; że się jednak bez nich nie obeszło, służy nam za dostateczną rękojmię ścisły dwu osób stosunek i znana hojność Stanisława Augusta. Pensye pobierał. Są na to dowody. Używany był do *różnych* funkcyj, za które wynagradzano go, jeżeli nie sowicie, to w każdym razie odpowiednio. Przez kilka lat był nawet członkiem „departamentu komisyi wojskowej;“ w tabeli bowiem likwidacyjnej, przedstawionej sejmowi Mokronowskiego, figuruje taka pozycya: „*Trembecki, szamb. J. K. M. — pensyi z własnej prezencyi przychodzącej 4942 zł., absencyi odebranej — 1556, pretendowanej — 4911.*“ Gdzie się podziewały te z różnych źródeł płynące dochody, jest rzeczą dla nas obojętną; naiwnym wszakże byłby ten, ktoby przypuszczał, że niedołężny, a niechlujny starzec, zgrzybiały rezydent z Tulczyna i szambelan zalotnego Stanisława zarówno hołdowali modzie i jednakie mieli potrzeby...

*) „Jedni tam nieprzełomnej potrzebie ulegli,
Inni, żeby co sprzątnąć, kiedy gore, biegli...“

Bądź co bądź, Trembecki, po śmierci króla (1798), odrzuciwszy zaszczytne propozycye kilku wysoko postawionych osób, osiadł nazawsze w Tulczynie. Potrzeba było usprawiedliwić czemkolwiek swój pobyt w progach magnackich. Napisał więc złożony z 474 wierszy poemat na cześć pana domu i tej, którą niegdyś, w zręcznym, po wolterowsku usnutym wierszyku, pod imieniem Wittowej, do rzędu bogiń podnosił. Za tę sztukę rymotwórca otrzymał, jak mówią, od Mecenasa 2 tysiące dukatów (niezłe honoraryum!). Zgrzybiałemu poecie, uwieńczającemu w *Zofiówce* ostatni, przedzgonny okres życia, służyły za wzór *Ogrody* Delille'a, poemat Lukrecyusza *De rerum natura*, i Nazonowe *Przemiany*. Dzieło francuskiego autora (*Les jardins, ou l'art d' embellir les paysages*) było poniekąd zbyteczne; park bowiem, należący do Potockiej, przedstawiał plastyczne wcielenie opisów, na jakie się poeta XVIII-go wieku mógł zdobyć. Ale *Metamorfozy*, jako nie wyczerpana kopalnia mytów, skarbnica, mieszcząca w księdze XV-ej ewangelię pytagorejską (która stanowi osnowę przedśmiertnej manii Trembeckiego), znacznie ułatwiały robotę i pozwalały starcowi, zgodnie z osobistym nastrojem, zbudować pomnik na mogile — oryginalnych, czy zapożyczonych, w każdym jednak razie — ukochanych marzeń. Nieomylimy się podobno, twierdząc, że znaczną część *Zofiówki* odszukaćby można w różnych miejscach wspomnianego poematu Owidyusza. Piętnasta księga *Przemian*, wraz z Lukrecyuszowem *De rerum natura*, dostarczyła myślowego podkładu pod ten ciężki, pseudoklasyczny, a mało już dziś zrozumiały budynek. Lucyan Siemieński przytacza np. w swym „portrecie“ następne słowa z *Zofiówki*, jako rys charakteryzujący pisarza:

„Byliśmy, czem jesteśmy, miliony razów,
I póki potrwa ziemia, póki starczy słońca,
Żyć, gasnąć, odradzać się będziemy bez końca.“

A przecie jestto tylko dowolne tłomaczenie wierszy Nazonowych, które w księdze XV kilkakrotnie pod różnym pojawiają się kształtem:

„Nec perit in tanto quicquam, mihi credite, mundo,
Sed variat, faciemque novat...“ (w. 254 i 5).

Gdzieindziej znowu Siemieński cytuje:

„Ziemia przychylna matka, odpędzając głody,
Na pokarm dała ziarna, owoce, jagody...“

Owidyusz tymczasem daleko piękniej tę samą myśl wypowiada:

„Sunt fruges, sunt deducentia ramos
Pondere poma suo, tumidaeque in vitibus uvae.
Prodiga divitias, alimentaque mitia tellus
Suggerit atque epulas sine caede et sanguine praebet.“

Artystyczna więc wartość *Zofiówki* schodzi niemal do zera. Myśli i obrazy po większej części cudze, ogólny pomysł—narzucony przez samą rzeczywistość; styl jedynie i język wyłącznie do Trembeckiego należą.

Dla tych też głównie, czysto zewnętrznych zalet Mickiewicz i inni — szambelana Stanisławowskiego na świeczniku stawiali. Wiedza jego chociaż dość, jak na owe czasy, pokaźna, połyskująca już to drobiazgami staroklasycznemi, jużto wytworami geniuszu francuskich encyklopedystów, jużto wreszcie znajomością rzeczy swojskich, nie może być porównywana z zasobem umysłowym Naruszewicza lub Krasickiego. Oprócz wytwornego stylu, przypominającego Horacych i Wolterów, oraz archaistycznej czystości języka, odtwarzającej po mistrzowsku mowę Górnickich i Skargów, główną ponętą w lepszych utworach tego

---

rę! Pojadę do New-Yorku, tam powiem w hotelu:

— Prowadźcie mnie do najsławniejszego w mieście lekarza.

Poprowadzą.

Lekarzowi powiem: jestem przepełniony merkuryuszem. Rok kuracyi — ile?

— Pięć tysięcy dolarów — odpowie.

Zapłacę.

— Oto pigułki, a oto proszki — doktór powie. Co wieczór zażyć dwie pigułki, przy obiedzie dwa proszki, wrócić po tygodniu.

Po tygodniu wrócę—wyleczony.

Ośmielony uwagą, z jaką Tom go słuchał, ciągnął dalej:

— Gdy wyleczony będę, powiem w hotelu:

— Pokażcie mi największy i najwspanialszy dom w mieście!

Pokażą. Dom to Johna Jakóba Astora.

— Ile chcesz — spytam. A on zmierzy mię wzgardliwem spojrzeniem.

— Oszalałeś, stary żebraku!

Wyrznę mu policzek. On się uniewinni. Za dom zapłacę, ile zażąda; umebluję od mahoniu, Tomy, od mahoniu! Zamieszkamy tam razem, Tom!

Słońce schowało się za górę; od jodeł cień padał głęboki; w grocie robiło się coraz chłodniej, a w zmroku coraz żywiej połyskiwały źrenice Johnsona.

— Wyprawim bankiet—ciągnął—wielki bankiet! Zaprosim członków rządu, kongresu, gentlemanów, elegancików i tym podobnych. Śród gości znajdzie się ktoś, co wysoko nosi głowę... Znałem go niegdyś, lecz on nie wie o tem, i już zapomniał... Więc przybędzie i zajmie miejsce naprzeciw mnie, a ja oka z niego nie spuszczę. Elegancik oheblowany, wypolitorowany, usta ociera białą chustką, uśmiecha się, spogląda na mnie z przymileniem.

— W ręce pańskie, Mr. Johnson! — mówi.

Napełniają kielichy, powstajem... Wino i kieliech ciskam mu w twarz, w tę jego przeklętą, wytartą twarz! Skoczy! Zręczny! O, wiem, że zręczny!

Powstrzymają go.

— Ktoś ty?—spyta, pieniąc się ze wściekłości.

A ja wówczas odpowiem: Skaggs! Czy słyszysz? Skaggs jestem; jeśli śmiesz, spojrzyj mi teraz w oczy. Gdzie żona moja, dziecię, pieniądze? Oddaj mi! Wróć imię zbezczeszczone, zrujnowane zdrowie, życie złamane, zwróć mi ostatnie dwanaście lat mego życia! Czy słyszysz, zwróć mi natychmiast, bo ci podłe serce twe wydrę! I naturalnie, Tom, nic mi nie odda, nie zwróci... to niepodobne!... Więc mu serce wyrwę z podłej piersi, zdepcę, rozszarpię...

Zgasł zwierzęcy połysk oczu mówiącego — twarz nabrała wyrazu przebiegłości.

— Czy sądzisz, Tom — mówił ciszej — że mię za to powieszą? Bynajmniej. Pójdę, widzisz, do najsławniejszego adwokata i tylko mu powiem: Jestem przepełniony, opchany merkuryuszem! Zdziwi się, uda do sądu i powie: Człowiek ten jest niepoczytalny — on merkuryuszem zatruty. Zwołają świadków: zjawisz się i poświadczysz, w jakim mię tu widywałeś stanie. Zjawi się doktór i poświadczy także. Zapadnie wyrok uniewinniający:... merkuryuszem przepełniony...

Powstał z miejsca, rozgorączkowany; lecz zachwiał się na nogach, i gdyby go Tom nie podtrzymał i na świeże nie wywiódł powietrze, padłby bez zmysłów, wyczerpany. W dziennem świetle bledszą jeszcze była jego blado-zielona twarz. Tom, podtrzymując go wpół, zaciągnął do lepianki, położył na ławie, długą chwilę z przestrachem wpatrując się w siną, miotaną wielkim dreszczem postać upadłego.

— Wuju Ben — rzekł wreszcie szybko, stanowczo. Pobiegnę do miasta, rozumiesz wuju, po doktora, do miasta; za dwie godziny będę z powrotem. Tymczasem pod żadnym pretekstem nie masz się ruszać z miejsca. Rozumiesz, wuju Ben.

Johnson kiwnął głową i chłopiec znikł za górą.

Przez godzinę Johnson dotrzymywał danej obietnicy: nie poruszył się z miejsca, ani drgnął nawet. Nagle podniósł się, wzrok wlepił w róg izby; zrazu uśmiechał się, po chwili przemawiać zaczął, później wrzeszczeć, przeklinać; łkał potem strasznie, gwałtownie, i znów znieruchomiał, uspokoił się wreszcie, uspokoił tak dalece, że miał pozór uśpionego, umarłego nawet; lecz gdy ciszą ośmielona wiewiórka, zbiegając z

niepłodnego pisarza jest niezawodnie *dowcip* — niejadowity wogóle, a zabarwiony w zakresie religii — postępowemi*), w sferze politycznej — monarchicznemi tendencyami. Jako talent — najbardziej się Trembecki zbliża do Kajetana Węgierskiego, jako jednostka społeczno-moralna stoi o kilka szczebli niżej, odstręczając od siebie starością ducha, szablonowym panegiryzmem, służalczą hipokryzyą i... brakiem zmysłu do odczuwania prądów życia narodowego.

A. G. Bem.

Prawa fabryczne

i położenie robotników w zachodniej Europie.

II.

Zwróćmy się teraz ku Francyi.

„Rzeczpospolita obowiązaną jest ochraniać obywatela, jego mienie, rodzinę, religię, własność, pracę i każdemu człowiekowi uczynić dostępnem potrzebne mu koniecznie wykształcenie; obowiązaną jest zapewnić niezbędne warunki życia obywatelom przez wspieranie braterskie, bądź dostarczając roboty, bądź wspierając tych, którym rodzina nie może dopomódz, w razie ich nieudolności do pracy."

Tak brzmi § 8 konstytucyi z 1848 r.**). Dotychczas jednak Rzeczpospolita nic nie robiła dla robotników. Kiedy przesilenia ekonomiczne ostatnich czasów w niektórych gałęziach przemysłu francuskiego spowodowały, iż wielu bardzo robotników zostało bez zajęcia, wtedy dopiero zaczął rząd myśleć o sposobach przyjścia im z pomocą.

Francuscy robotnicy, widząc tę obojętność, sami zaczęli myśleć o sobie, organizując się w stowarzyszenia na wzór angielskich *Trades-Unionów*. Tak zwane „Izby syndykalne," dotąd nieuznane jeszcze urzędowo, rozszerzyły się w ostatnich latach z niesłychaną szybkością. W 1876 r. odbył się w Paryżu pierwszy kongres robotników francuskich, który bardzo ożywczo wpłynął na dalszą organizacyę. W 1877 r. liczono w Paryżu 117 Izb syndykalnych. Cała Francya została pokryta siecią tego rodzaju stowarzyszeń. Kongres paryski uznał za konieczne regulowanie dzisiejszych stosunków pomiędzy kapitałem a pracą, przez pośrednictwo „Conseil des prud' hommes" (rada starszych). Jest to instytucya złożona z przedstawicieli patronów i robotników, datująca swe istnienie jeszcze od 1806 r.

Cel Izb syndykalnych polega na urządzaniu kas oszczędności, kas oporu, kas dla zabezpieczenia losu inwalidów robotniczych i starców niezdolnych do pracy itd. Stowarzyszenia wytwórcze, spożywcze i in. wchodzą także w zakres działalności niektórych Izb syndykalnych. Według uchwały drugiego kongresu (r. 1877 w Lyonie) do nich należy: 1) regulowanie produkcyi; 2) ustanowienie płacy od sztuki i obrona ogólnych interesów klasy roboczej, przez prawny opór i zakazywanie warsztatom naruszać równowagę pomiędzy potrzebami robotników a pretensyami kapitału; 3) wynajdywanie pracy robotnikom; 4) nauka rzemieślnicza i dozór nad uczniami; 5) urządzanie kas oporu na wypadek zmowy, bezrobocia i stowarzyszeń wzajemnego ubezpieczenia na wypadek choroby, kalectwa i starości. Kongres ten postanowił żądać skrócenia dnia roboczego do 10 godzin. „Potrzeba zmusić władzę państwową, ażeby nie zajmowała się naszemi sprawami, lecz ażeby usuwała tylko przeszkody, stojące na naszej drodze" — wyrzekła komisya, wybrana na kongresie paryskim w sprawie kandydatury roboczej."

Robotnicy francuscy odrzucają przeto wszelkie projekty państwowe urządzania kas, usunięcia nieporozumień pomiędzy pracownikiem a kapitalistą itd., domagając się natomiast szerokich praw swobody politycznej.

Teorye kolektywistów rewolucyjnych, występujących w tymże czasie, bardzo mało znalazły zwolenników. Organ ich *Egalité* nie wielkiem cieszył się powodzeniem i upadł wkrótce z braku odpowiedniego funduszu. Socyalistyczne teorye jednak międzynarodowego stowarzyszenia robotników i późniejszych kolektywistów nie mogły pozostać bez wpływu na masy robocze. Wpływ ten uwydatnia się już w pewnym stopniu na kongresie w Marsylii (1879 r.) który się nazwał socyalistycznym, i na nim postanowiono, iż wszelkie zjazdy robotnicze zwać się odtąd mają socyalistycznymi. Własność kolektywną uznano, jako jedynie sprawiedliwą zasadę społeczno-ekonomicznego życia. „Udoskonalić praktycznie teraźniejszość i wypracowywać jednocześnie ideał przyszłości — oto rzeczywiste zadanie Izb syndykalnych"—powiedział jeden z delegatów, Finance. „Koniecznem jest—według niego—ażeby Izby syndykalne były neutralnym gruntem, gdzie każda teorya, każdy system mógłby być bezstronnie rozpatrywany. Nie trzeba zapominać, iż dla urzeczywistnienia wszelkiej teoryi potrzebny jest pewien przeciąg czasu, ażeby choć pewna mniejszość, związana wspólnością poglądów, uczuć i obyczajów, mogła się nią przejąć."

Na kongresie w Hawrze (1880), robotnicy francuscy podzielili się na dwie partye: socyalistyczną i niesocyalistyczną. Ci ostatni domagają się szerszych praw dla Izb syndykalnych, swobody zebrań i stowarzyszeń.

Jak wspomniałem wyżej, rząd republikański w ostatnich czasach dopiero zajął się sprawą robotniczą. Pierwszym jego krokiem na tem polu było ogłoszenie w d. 16 lutego b. r. nowego prawa, mającego

*) Do lepszych płodów satyry kościelnej należą: *Oda na upadek jezuitów*, gdzie autor *chwali* stowarzyszenie Lojoli, aby tem skuteczniej zdeptać nawę Piotrową, — grunt, na którym zakon został zbudowany; *Daniel Kalwiński, do imci pana Trembeckiego przy zniesieniu jezuitów* (ognisty pamflet, którego dotąd nigdzie w całości niewydrukowano) itp. Najdowcipniejszym jednak bezwątpienia w tej sferze, ze znanych mi utworów Trembeckiego, jest charakterystyczna satyra *Spowiedź*, pełna prawdy, i ostrej, chociaż cynicznej nieco ironii (t. I. str. 190).

**) W Niemczech domagano się wówczas wprowadzenia podobnego paragrafu do konstytucyi. Wnioski stawiane przez lewicę, w parlamencie frankfurckim w d. (8 i 9 lutego 1849 r.) nazwano „demoralizującemi," porównywając ich niebezpieczeństwo dla Niemiec z koniem trojańskim i odrzucono 317 głosami przeciw 144. *Neue Zeit.* 1883. I. s. 46).

---

ze strychu, zatrzymała się nagle na drągu ponad ławą, nogi człowieka poczęły się zsuwać ostrożnie na ziemię," a wzrok stawał się, równie jak u wiewiórki, przenikliwym; po chwili obie nogi znalazły się na ziemi, zaskrzypiała ława — wiewiórka, spłoszona, pierzchła pod strzechę... Gdy znęcona ponownie zaległą ciszą, wyjrzała po niejakim czasie, w izbie nie było nikogo.

W godzinę potem dwaj ludzie, wiodący muły z Placerville Road, spotkali człowieka z powichrzonym, cierniami przeplatanym włosem, z oczami dzikiemi, krwią zabiegłemi, w odzieży porwanej, zbrukanej. Popędzili za nim. Zwrócił się do nich, wściekły, oszalały, z rąk bliżej stojącego wyrwał pistolet i zbiedz zdołał.

Gdy słońce się skryło za gór szczyty, na skraju Deadwoodu zarośla zachrzęszczały, pod ukradkowym, lecz przyśpieszonym krokiem. Cień, pomykający śród wieczornego półmroku, musiał być cieniem zwierzęcia jakiegoś, co pędziło na oślep; gdyż zwierzę chyba napełniać mogło powietrze tak monotonnym, nieustannym jękiem, skargą bez słów, a bolesną... Gdy się jednak cień zbliżył, a zarośla przerzedziły, okazało się, że nie zwierz to był dziki, ale człowiek — Johnson. Po za ujadaniem urojonych sfór psich, ścigających go bez wytchnienia; poza świstem urojonego bicza, którym mu biodra szarpała goniąca za nim poczwara; poza wyciem ohydnej ciżby mar, tłoczącej się za nim i na niego—rozróżniał on jeszcze dźwięk rozrzewisty — szum spadającego w przepaść potoku. O tysiąc stóp nad krawędzią Deadwoodu pieniły się bezdenne, żółtawe wody. W pomieszaniu obłąkanych swych zmysłów, jedną miał myśl jasną, stałą: dopaść do wód tych, zanurzyć się w nich, przepłynąć, mniejsza o to, jak—byle stanęły jako przedział między nim a trapiącemi go marami, byle mógł zatopić w ich głębiach bezdennych, prześladowców swych, byle mógł zmyć w nich wszystkie plamy, wszystkie pamiątki przeszłości. Z niesłychaną szybkością, ze zwierzęcą rzutkością przeskakiwał z głazu na pień zgniły—tu zaczepiając o zjeżone krzaki, tam o wijące się zielsko, ówdzie znowu zapadając w doły piaszczyste dopóty, dopóki potykając się tak, zrywając, tocząc, spadając, nie dotarł do brzegu. Wyprostował się wtedy, zachwiał, zatoczył, rozkrzyżował ręce... i padł na głaz, zawalający łożysko potoku.

Ponad jodłami Deadwoodu wzniosło się gwiazd kilka. Potem wiatr powstał — jednym powiewem zachwiał skał skłonem i zmarszczył wód zwierciadło. Miejsce, w którem padł ów człowiek, przedstawiało nagły skręt w biegu rzeki. Z zapadającą nocą zdawało się, że wody wytryskują z tajemniczych ciemności i biegą — znów się z niemi połączyć. Wraz z wodą, prześlizgały się i nikły zgniłe trzaski, szumowiny płóczkarni, jak gdyby prąd potoku śpieszył wtłoczyć w cień odpadki grubej i nieprawidłowej cywilizacyi. Rzecby też można, że wichrem wzdęte fale, pieniące się naokoło głazu, na który, jak martwy, padł ów człowiek, czatują na nową zdobycz, by ją pociągnąć ze sobą ku bezdennym morzom.

Wielki zapanował spokój. W przezroczystem, nocnem powietrzu rozległ się odgłos pocztarskiej trąbki; z brzegu potem nadbiegły echa śmiechów i głosów różnych—brzęk dzwonków i ostróg; za gościńcu zaturkotały koła przejeżdżającego dyliżansu, zatętniły końskie kopyta, zamigotały latarnie i znów wszystko ucichło. Księżyc wypłynął w pełni ponad skupione na horyzoncie gór szczyty. Najpierwszy, nakształt trupiej czaszki, pobielał kredowy czerep wierzchołka Deadwoodu. Wkrótce od grzbietu skały padający cień zaczął się cofać powoli, odsłaniając, jedne po drugich, krzywe pnie drzew i wąskie, wężowe skał czeluście. Zwarte obręby nadbrzeżne zabarwiły się srebrzysto od góry, czarno od spodu. Posuwając się tak powoli, czarna smuga księżyca wśliznęła się w głąb przepaści. Zakipiały, jej pocałunkiem jasnym rozświecone wody... Tylko na głazie, zawalającym łożysko potoku, na który padł był z wieczora, nie było człowieka... a potok spływał ku morzu...

(D. c. n.)

zapobiedz rozmaitym nadużyciom ze strony pracodawców względem robotników, przez ustanowienie ściślejszego dozoru nad zakładami, podlegającymi ustawie fabrycznej z 1848 r. Podług tej ustawy dzień roboczy składa się z 12 godzin rzeczywistej pracy.

Pomimo kar pieniężnych, wymierzonych za przekroczenie tego artykułu, w ilości 5 do 100 franków (kary te jednak, jeśli powtarzają się często, nie mogą przewyższać sumy 1000 fr.), skonstatowano, iż w pewnych miejscowościach dzień roboczy wynosił 13, 14, a nawet 15 godzin i więcej. Nowe prawo składa się z następnych dwu artykułów: Pierwszy poleca komisyom miejscowym i inspektorom nad pracą dzieci w rękodzielniach, ustanowionym uchwałą z d. 19 maja 1874 r., dozór nad zastosowaniem prawa z d. 9 września 1848 r., co do długości dnia roboczego; drugi orzeka, iż rząd jest mocen zwiększyć liczbę inspektorów okręgowych i terytoryalnych okręgów inspektorskich, przewidzianych w art. 16 prawa z 19 maja 1874.

Wszystkich inspektorskich okręgów było dotąd 15; każda więc pojedyncza fabryka mogła być raz tylko w ciągu trzech lub czterech lat zwiedzoną. Wypadki w fabrykach francuskich, pomimo to, są bardzo rzadkie. Przypisać to należy bądź zręczności i biegłości robotników, bądź surowemu zastosowaniu art. 1382—1384 kodeksu cywilnego, zniewalającemu przemysłowców do zaprowadzania wszelkich środków ochronnych dla zabezpieczenia robotnika; kara bowiem, nałożona na winnego, więcej wynosi, niż zaprowadzenie ulepszeń fabrycznych.

Dalej po drodze reform społecznych posunął się minister spraw wewnętrznych Waldeck-Rousseau, ustanawiając komisyę z 23 członków dla uregulowania stosunków robotniczych. Proponuje on w tym celu zakładanie stowarzyszeń korporacyjnych, wspieranych przez państwo, w rodzaju takich, jakich jeszcze w 1848 r. domagał się L. Blanc. Urządzenie tanich mieszkań, któreby drogą spłaty przejść mogły na własność robotników (jak w Anglii), jest tylko dalszym ciągiem idei Napoleona III, który jeszcze w 1852 r. kazał budować wielkie domy robotnicze w miastach fabrycznych. W r. b. ma się odbyć w Paryżu kongres międzynarodowy dla urządzenia dobroczynnych instytucyj dla robotników, Waldeck-Rousseau chciałby zobowiązać przedsiębiorców robót publicznych do dzielenia się otrzymywanym zyskiem z klasą pracującą. Sprawa współudziału jej w zyskach podniesioną została już także w jednym z tegorocznych numerów *Oesterreichischer Oeconomist* p. n. „Eine vergessene Frage,“ jako ważny środek ułagodzenia zatargów pomiędzy pracą a kapitałem. Autor tego artykułu dziwi się, iż pomimo dobroczynnego wpływu takiego współudziału, jak dotyczasowe próby pokazały, przedsiębiorcy przeciwni są dotąd jeszcze temu środkowi zaradczemu.

Ilość robotników francuskich, według statystyki z 1872 r.*), tak się przedstawia: w kopalniach pracowało 153,932 mężczyzn i 10,887 kobiet; w fabrykach i hutach — 593,964 m. i 418,042 k.; w drobnym przemyśle — 950,253 m. i 610,191 k.; najemników dziennych 340,851 mężczyzn i 126,377 kobiet.

Według d'Haussonvilla **), 74% wszystkich robotników paryskich zarabia dziennie 4 franki i nieco więcej, 22% — od 3—4 fr. i 4% mniej, niż 3 fr. dziennie. Zarobek kobiet wynosi przeciętnie 2 fr. 79 cent. dziennie. Dobra szwaczka pobiera 3 do 4 fr. dziennie, lecz tylko wyjątkowo. Zwykła—przeciętnie 1 fr. 25 cent., często jednak tylko 90 cent. a nawet 80 za 16 godzin ciągłej pracy. Pani de Barrau *) zapewnia, iż większość pracownic paryskich nie zarabia nawet przeciętnej płacy z roku 1864 — t. j. 2 franki 14 centimów dziennie.

Podwyższenie płacy przez urządzanie zmów może być osiągnięte tylko pośród „arystokracyi“ (ludzi, którzy zarabiają 6 do 7 fr. dziennie); biedniejszym robotnikom rzadko się to udaje, a robotnicom nigdy, gdyż nędza nie pozwala im nawet na chwilowe bezrobocie. Budżet potrzeb robotnika paryskiego, według wyżej cytowanego autora, wynosi 800 do 1200 fr. rocznie. Żonaty z trojgiem dzieci musi wydać rocznie 2125 do 3000 fr. Dla zaspokojenia więc swych potrzeb powinien zarabiać $2^3/_4$—4 f. dziennie, jeżeli przypuścimy, iż przy najlepszych warunkach—300 dni w roku może pracować. Dla utrzymania rodziny winien zarabiać $7\frac{1}{2}$ do 10 fr. dziennie. Nieodpowiedni ten stosunek pomiędzy koniecznym a rzeczywistym zarobkiem stanowi przyczynę nędznego położenia, w jakiem się znajduje czwarta część robotników paryskich.

To samo widzimy w Lyonie i innych ogniskach przemysłu francuskiego. Robotnik lyoński, pracujący w fabryce wytworów jedwabnych i otrzymujący poprzednio 31 do 35 fr. tygodniowo, pobiera dzisiaj 21 do $22\frac{1}{2}$ fr. tygodniowo. To spadanie płacy jest skutkiem zmniejszenia się popytu na wyroby jedwabnicze francuskie i używania jedwabiu wogóle. Silną konkurencyę sprawia Francya na tem polu w Stanach Zjednoczonych, a niezadługo znajdzie ją także w Europie. Obok tego ważną okoliczność stanowi obecna walka pomiędzy rękodzielnictwem a pracą maszyn. Przed 40 laty było w Lyonie 60,000 krosien ręcznych. Dzisiaj jest ich 20,000 w mieście; natomiast po za miastem powstały fabryki, posiadające 125,000 krosien maszynowych.

Zobaczmy, jak się rozwijał nowoczesny ruch robotniczy w Niemczech i o ile wpłynął na prawodawstwo fabryczne. Wchwili, gdy Lassalle wystąpił z propagandą socyalizmu państwowego, robotnicze stowarzyszenia wytwórcze i spożywcze, zawdzięczające swój początek inicyatywie Schulzego z Delitzscha, szerzyły się niesłychanie szybko w całych Niemczech. Mogły one być skutecznemi w pewnym stopniu, lecz tylko w zastosowaniu do produkcyi drobnej; właściwemu jednak najemnikowi nie dawały pomocy. Mylił się Schulze-Delitzsch, jeżeli w owych stowarzyszeniach widział rozwiązanie kwestyi socyalnej, jak i dziś mylą się ci, co w reformach socyalistycznych Bismarka upatrywać chcą gruntowną zmianę warunków bytu klasy pracującej. Lassalle utrzymywał, iż tylko przy pomocy państwa można polepszyć położenie robotników i stopniowo zmienić teraźniejszy sposób produkcyi. „Swobodne stowarzyszenia robotników w związku z powszechnem głosowaniem“ uważał „za skuteczne i możliwe tylko wtedy, gdy zostaną one oddane pod opiekuńczą, cywilizacyjną egidę państwa“ **). Bismark pod silnym wpływem tej idei chciał ją poprowadzić po swojemu. Plany jego ograniczyły się tylko na ubezpieczeniu robotników od kalectwa, śmierci, starości, bezrobocia, słowem od wszelkich wypadków, którym podlega klasa robotnicza. Cała jednak złożona operacya musiałaby się ześrodkować wyłącznie w rękach rządu. Robotnicy, pracodawcy i ogół, opłacający podatki, wnosićby musieli premie ubezpieczające do kas rządowych, i na tem ograniczyłby się ich udział. Pozbawiłoby to robotników wszelkiej samodzielności, ożywiającej i podnoszącej moralnie. System ubezpieczania, bez poprzedniej zmiany istniejącego systemu produkcyi doprowadziłby niewątpliwie do nowej formy cezaryzmu i niewolniczego poddaństwa; każdy bowiem przejaw samodzielności mógłby pozbawić robotnika jego pracy, zatem środków do życia i korzyści z opłaconych premij. Kwestya ta szczegółowo wyjaśnioną została przez L. Brentano, profesora uniwersytetu wrocławskiego; w *Deutsche Zeit- und Streitfragen.*

W samych Prusach przeszło sześć milionów robotników nie jest w stanie opłacić premij ubezpieczeń przy najbardziej ograniczonem życiu *). Według urzędowych wiadomości około 200,000 ludzi w Prusach należy do armii koczującej, niemogącej znaleść pracy. Nic więc dziwnego, że ilość więźni zdwoiła się od 1874 r., według słów ministra sprawiedliwości Friedberga, wypowiedzianych w parlamencie niemieckim pod koniec 1883 r.

Przez zmianę podatków bezpośrednich na pośrednie chce Bismark przynieść ulgę klasie roboczej, jakoby nie rozumiejąc, że ciężar podatków pośrednich, zamiast padać na jednostki, stosownie do ich majątku i dochodu, w znacznie większej mierze uciska biedniejsze klasy narodu **). Kanclerz chce w ten sposób podnieść finanse cesarstwa, by więcej jeszcze uzależnić oddzielne części Niemiec. Pośrednie podatki bowiem pobiera rząd cesarski, a bezpośrednie — rządy każdego zosobna państwa. Nie chodzi mu więc o podniesienie dobrobytu robotników, lecz tylko o wzmocnienie monarchii.

Socyaldemokracya niemiecka, żądająca w zasadzie całkowitego przeistoczenia obecnego ustroju państwowego i społecznego drogą stopniowych reform, była do r. 1878 ruchem zupełnie prawnym. Wydawano rocznie 60 pism peryodycznych i około 200 druków. Rząd i klasy panujące, widząc, że ona liczy dziesiątki tysięcy zwolenników i cieszy się wpływem wśród klasy roboczej, stworzyli „prawa wyjątkowe.“ Zamiast jawnej, legalnej działalności, rozpoczęli socyaldemokraci robotę tajną i nielegalną. Uorganizowali się należycie, posiadają urzędowy organ partyi *Socialdemokrat*, wydawany od trzech lat w Zurychu, odbywają zjazdy, kongresy coraz częstsze i coraz liczniejsze—i coraz więcej zyskują wyznawców. Przeszło 350,000 głosów oddano w roku zeszłym na korzyść kandydatów socyalistów; w parlamencie mają oni 12 swych przedstawicieli.

Poseł hamburski Wendt, postępowiec, powiedział przed kilku miesiącami w parlamencie: „Trudno pojąć, iż na naszej niwie społecznej z zastraszającą konsekwencyą, mianowicie pod wpływem praw wyjątkowych, wyrabia się materyał dla niebezpiecznej rewolucyi.“ Thüngen-Rossbach, zwany „przyjacielem chłopów,“ w odczycie wygłoszonym na 13 posiedzeniu kongresu niemieckich gospodarzy wiejskich w Berlinie (1882) rzekł ***): „Legalne i nielegalne wyższości i przywileje wielkiego kapitału ruchomego, taką stworzyły już przepaść pomiędzy bogatymi i biednymi, że, jeśli ona nie zostanie zgładzona przez radykalne reformy, wywoła najstraszniejszą z rewolucyj... Położenie chłopów nie jest lepszem od położenia robotników i pomoc dla nich niemniej jest konieczną. W kwestyi chłopskiej zawiera się większa połowa kwestyi społecznej, na jednego bowiem fabrycznego robotnika przypada w Niemczech 10 chłopów. Zbudzili się oni ze snu, w który byli pogrążeni, po okrutnem uśmierzeniu ich ruchu w epoce reformacyjnej, i teraz nie łatwo będzie uśpić ich

*) G. Fr. Kolb. *Handbuch der vergleichenden Statistik*, Lipsk 1879, str. 186.

**) *Revue des deux Mondes*, t. LVI, 1883, z 15 kwietnia „La vie et les salaires á Paris.“

*) *Travail féminin.*

**) *Pośrednie podatki*, Lwów 1878, str. 110.

*) *Neue Zeit*, 1883, I. str. 10.

*) Lassalle, *Pośr. podatki* str. 5.

***) *Welche Maasregeln sind zu ergreifen, um den drohenden Ruin des ländlichen Grundbesitzes zu begegnen?*

przy pomocy recept agronomicznych.“ Nie tyle więc w „prawach wyjątkowych,“ ile w zwiększającej się „przepaści pomiędzy bogatymi i biednymi“ szukać należy przyczyny, „wyrabiającej materyał dla niebezpiecznej rewolucyi.“ „Jeden istnieje tylko środek—powiada bogaty kupiec niemiecki, L. O. Poppe *) — aby uczynić zdrowemi nasze stosunki społeczne: zupełne zniszczenie prywatnego kapitału, ażeby nikt nie był w stanie zbierania wartości pracy — pieniędzy.“

Jeszcze w 1867 r. pisał K. Marx w przedmowie do pierwszego wydania *Kapitału:* „Przestraszylibyśmy się swych własnych stosunków (w Niemczech), gdyby rządy nasze i parlamenty, podobnie jak w Anglii, ustanawiały peryodyczne komisye dla zbadania stosunków ekonomicznych, gdyby komisye owe tem samem, co i w Anglii, obdarzone były pełnomocnictwem w wykrywaniu prawdy, gdyby się udało znaleść w tym celu biegłych, bezstronnych i wolnych od wszelkich względów osobistych — ludzi, jakiemi są angielscy inspektorzy fabryczni, jakoteż lekarzy, powołanych do zbadania sprawy o stanie zdrowia publicznego („Public health“), komisarzów, badających wyzyskiwanie kobiet i dzieci, stan mieszkań i pokarmów itd.“ Odtąd wiele zmieniło się w Niemczech; nie zaprowadzono jednak jeszcze dotąd takiej kontroli fabrycznej, jaka istnieje w Anglii. Ustawa fabryczna z 21 czerwca 1867, mająca na celu ograniczenie pracy kobiet i małoletnich robotników, wskutek braku odpowiedniego dozoru ze strony rządu, pozostała tylko na papierze. Ustawa dopiero z 17 lipca 1878 powierza dozór taki specyalnym urzędnikom, mającym prawo zwiedzania fabryk każdej chwili. Działalność ich jednak nadzwyczaj ograniczono; są to raczej pośrednicy pomiędzy pracodawcami i robotnikami, aniżeli inspektorowie fabryczni we właściwem znaczeniu. Ilość ich bardzo jest przytem ograniczoną, a okręgi inspektorskie są za wielkie (wszystkich 46). Tak przemysłowy kraj, jak Saksonia, pięciu zaledwie liczy inspektorów. Wiele fabryk wskutek tego nie podlega żadnej kontroli w ciągu dwu a czasem i trzech lat. Inspektor fabryczny nie powinien ograniczać się na jednorazowej wizycie w ciągu całego roku, lecz niespodzianie zjawiać się w fabryce dwa lub trzy razy z kolei, gdyż wtedy tylko cel takiej instytucyi może być osiągnięty. Sprawozdania roczne inspektorów odznaczać się muszą niezupełnością i niedokładnością; drukują je tylko częściowo i kładą na stronę, nie dbając wcale o to, co się w nich znajduje. Chcąc komuś przyjść z pomocą, potrzeba poznać dokładnie jego położenie, stosunki, i zapytać o życzenie. Z 3314 fabryk Berlina i jego okolicy (zatrudniających 87,400 robotników) zrewidowano w roku zeszłym tylko 498, t. j. zaledwie 15%; w okręgu zaś inspektorskim Merseburg-Erfurt, liczącym 6,703 zakładów przemysłowych, tylko 289, a więc, w stosunku do ogólnej ilości fabryk, mniej niż 5% uległo jednorazowej kontroli.

(D. c. n.)

Z GALICYI.

Lwów, d. 15 lipca.

Nieboszczyk pp. Czerwińskiego i Urbańskiego. — Personel teatralny w rozsypce.—Epidemiczne nudy, przy 35° Cels. w cieniu. — Stagnacya polityczna.—Uchwała Rady miejskiej. — Polski pan w roli niemieckiego kulturträgera.

Przyrzekłem w ostatnim liście zapoznać czytelnika z *Nieboszczykiem* pp. Czerwińskiego i Urbańskiego, co też czynię zaraz na wstępie, nim przejdę do innych spraw naszej prowincyi.

Bohaterką sztuki jest kobieta — emancypantka. Cygar ona wprawdzie nie pali, nie jeździ konno, nie przebiera się po męzku, mężczyzn nie kokietuje, ani pierwsza z miłością się im oświadcza, nie szermuje też dwuznacznym dowcipem; jest przecie emancypantką, choćby dlatego, że wdarła się w tajniki wiedzy ludzkiej, i to tajniki takie, które dla płci niewieściej były dotychczas przejrzystą gazą wstydliwości zasłonięte. Atoli nie dlatego jeszcze, że bohaterka *Nieboszczyka* jest doktorem medycyny, nazwaliśmy ją emancypantką. Autorowie wyemancypowali ją pod innymi także względami. Wyzwolili ją przedewszystkiem z przesądów, którym społeczeństwo nasze hołduje do tego stopnia, że dopiero wyśmiane w typowych na scenie postaciach uznać je zdoła rzeczywiście za przesądy. Pozwolili więc swojej Kamilli nie tylko gospodarstwem się zajmować, ale zabierać także głos w kwestyach społecznych i zranionemu parobkowi rękę obnażyć, w celu udzielenia pomocy lekarskiej. Nauczyli ją także bardzo wielu tajemnic filozoficznych, poczerpniętych z francuskiego i angielskiego skarbca, na które oburza się całe jej męzkie otoczenie; wyswobodzili wreszcie z pod jarzma śmiesznych stron konwenansu, chociaż, mówiąc prawdę — emancypacyi kobiety nie doprowadzili jeszcze w postaci Kamilli, do tego kresu, którego płeć niewieścia niezawodnie się z czasem dobije. Niedobór ten poczytujemy nawet za istotną wadę, jeżeli *Nieboszczyk* ma być sztuką tendencyjną, a Kamilia wzorem kobiety wyzwolonej. Być może, iż autorowie wzgląd mieli na zachowawczość naszego społeczeństwa i zbyt drastycznym przykładem nie chcieli zrażać widza do wyczekującej ciągle rozwiązania kwestyi emancypacyi; atoli i w tym wypadku wyzwolenie Kamilli z pod moralnej drakońszczyzny posunąć było można o kilka jeszcze kroków dalej.

Treści sztuki nie podaję dla braku miejsca; zaznaczę tylko, że fabuła jej jest całkiem świeżą i interesującą. Co się zaś tyczy budowy, to z wyjątkiem kilku słabych, czy zwietrzałych cegiełek, które zresztą podobno postanowili autorowie zastąpić innemi, zarzucić jej — zwłaszcza po przyrzeczonej restauracyi — nie potrafimy nic zgoła. Charaktery występujących w sztuce osób rysowane są śmiało i zręcznie i — o ile wiedzieć możemy — nieprzypominają wcale dawniejszych kreacyj. Jedynie postać Kamilli — jak to już wspomnieliśmy wyżej — wygląda zdaniem naszem nieco zablado. Trochę silniejszych barw nie zaszkodziłoby jej wcale, a uczyniłoby z niej kreacyę pierwszorzędną, przynoszącą prawdziwą chlubę autorom.

Pomimo wszystkich tych usterek, najmniejszego nie mają autorowie powodu wstydzić się *Nieboszczyka.* Rzecz się udała, zyskała powodzenie i utrzyma się też zapewne w repertoarze naszej sceny do chwili, w której przestaniemy już mówić o emancypacyi kobiet. Z tego jedynie chyba względu życzylibyśmy *Nieboszczykowi* co najrychlejszego pogrzebu.

Nieboszczyk przejdzie zapewne i na inne sceny. Zasługuje on na to. Dobrzeby tylko było, aby uczyniał stosowniejszą, niż u nas, obsadę roli Kamilli. Grała ją tutaj p. Nowakowska, a grała po swojemu, to jest... na koturnach. We właściwym zakresie charakterów jest ona bardzo dobrą, czasami nawet znakomitą; rola jednak trzeźwo na świat spoglądającej emancypantki jest dla niej nieodpowiednią zgoła.

Sztukę pp. Urbańskiego i Czerwińskiego, grano tu dotychczas trzy razy, i zawsze z wielkiem dla kasy powodzeniem. Krytyka tutejsza wydała o niej sąd jednogłośnie pochlebny; nie wiadomo wprawdzie, co powiedzą o niej gdzieindziej; bądź co bądź autorowie jej mieć będą tę przynajmniej zasługę, że wznowili sprawę kobiecej emancypacyi i odżywili dyskusyę w danym przedmiocie. Komedya ich sprawiła bez wątpienia więcej, niż setka na tenże temat napisanych artykułów.

Teatr nasz znajduje się obecnie w rozsypce. Część tylko personelu dramatycznego pozostała we Lwowie — reszta zabawia gości kąpielowych w Krynicy; operetka zaś poszła w służbę stańczyków, na dwa miesiące, do Krakowa. Skutek tego jest taki, że nudzimy się tutaj niesłychanie i przekleństwami wstrząsamy Lwów aż do samych, przez księcia jeszcze Lwa założonych posad jego, na co wpływa bez wątpienia i niesłychana kanikuła. W ostatnich dniach notowaliśmy 35° Cels. w cieniu.

Nic też dziwnego, że wśród takich okoliczności i polityczny żywioł nasz zwolnił nieco, zwłaszcza gdy Rada Państwa — na urlopie, sejm nie zebrał się jeszcze a w radzie miejskiej nikt nie chce wszczynać „borby.“ Z pomiędzy donioślejszych uchwał przez tę ostatnią wydanych, podniosę jedynie odpowiedź na prośbę kilku zamieszkałych tutaj prusaków, urzędników kolejowych, żądających przyjęcia do gminy. Panom tym przypomniano obowiązki względem ich ojczyzny, do których należy podobno także i pilnowanie własnych śmieci, zwłaszcza jeżeli ich nikt za próg domu nie wypędzał i do wychodztwa z kraju nie zmuszał. Wygnańcowi, chociażby i niemcem był, nie odmówimy z pewnością obywatelstwa; pogardzamy wszakże włóczęgą, który tuczy się naszym kosztem, a do ziemi, co go żywi, nie przywiązuje się wcale.

Rajcom lwowskim składamy też niniejszem hołd za powyższą uchwałę i błagamy cholerę, która, z powodu zaniedbania wszelkich niemal środków ostrożności, zawita prawdopodobnie do naszego miasta, aby ominęła ich domy, rozgościła się natomiast w zamku pewnego panka galicyjskiego, *gente* polaka, *natione* niemca widocznie, co z zasady niemcom tylko rozdaje posady w dobrach swoich. Do faktora czy przyjaciela, słowem plenipotenta pańskiego, zgłosił się w Wiedniu młody polak, wykwalifikowany słuchacz akademii leśniczej, prosząc o posadę.

— Wakuje właśnie — odpowiada; cóż kiedy p. *** przyjmuje tylko niemców, którzy winni znać język polski o tyle tylko, *ile go potrzeba do powszedniej styczności z ludem wiejskim.* Ubolewam bardzo — rzekł, przy pożegnaniu — boby byłbyś pan dla niego wcale stosowny, *ale dla czegóż pan jesteś polakiem?...*

Rewera.

WYCIECZKA DO ALZACYI.

I.

Cel podróży. — „Gemischt.“ — Język francuski i niemiecki w Sztrasburgu. — Próbka gwary miejscowej. — Uniwersytet. — Imiona polaków na wieży katedralnej. — Pomnik grobowy Maurycego Saskiego. — Żołnierz o dwóch obliczach. — Neutralność Alzacyi.

Jak tylko zabłysły pierwsze uśmiechy wiosny, postanowiliśmy wykonać dawno powzięty zamiar bliższego poznania ciekawej z wielu względów prowincyi. Zajmowały nas głównie dwa pytania: jak wygląda na miejscu sprawa niemczenia niedawno annektowanej Alzacyi i jak się przedstawiają z bliska sławne przedmieścia robotnicze w Mülhuzie. Umyśliliśmy tedy poświęcić po kilka dni Sztrasburgowi, Kolmarowi, Mülhuzie i, jeżeliby czas po-

*) *Der Staatsmonopolist*, Berlin, 1882.

zwolił, zajrzeć przy sposobności do Francyi, aby się naocznie przekonać, jakie wrażenie sprawia z bliska widziany potwór, zwany rzecząpospolitą.

Przez Karlsruhe, Rasztat i most na Renie w Kehl, niegdyś graniczny z Francyą, w kilka godzin, o zmroku wieczornym, stanęliśmy na przedmieściu Sztrasburga, a stamtąd, koleją, opasującą miasto, mając ciągle przed oczyma wspaniałą wieżę katedry, przybyliśmy do głównego dworca, i w kilka minut, u wejścia hotelowego, roztrząsaliśmy pytanie, czy język francuski, czy też niemiecki ma przeważać w naszych stosunkach z oberżystami; ci, na pytanie nasze: czy u was tu panuje francuszczyzna, czy niemczyzna,—odpowiedzieli dyplomatycznie: bei uns ist es gemischt. Otóż to „gemischt“ cechuje całą Alzacyę północną. Teatr i gazety, mowa na ulicach i napisy, pieniądze i zwyczaje, wszystko to jest „gemischt.“ W teatrze grają na przemiany po francusku i po niemiecku. Niemcy, chcąc zaimprowizować nawykłym do wybornego teatru francuskiego sztrasburczykom, wysilają się na podtrzymanie sceny niemieckiej, i rzeczywiście mają tu taką trupę, jaką trudno znaleźć w większych miastach Niemiec zachodnich i południowych. Byliśmy na *Wiele hałasu o nic* Szekspira, i przyznać musieliśmy, że, stosunkowo do zdolności dramatycznych niemieckich, grano sztukę tę dobrze. Ale cóż, kiedy francuzi urodzonymi są aktorami i bez szczególnych wysiłków, bez subwencyi i protekcyi rządowej, w skromnym teatrzyku, w którym pali się cygara i poncz pije, lepiej doprawdy i raźniej grają, niż niemcy w pięknym i dużym gmachu, podtrzymywanym przez namiestnictwo.

Gazety po większej części także są „gemischt,“ i to w bardzo oryginalny sposób; wyglądają one na podręczniki Abna albo Ollendorfa; ustępy niemieckie idą po francuskich, czasem tłomaczone, czasami nie: brakuje tylko słowniczka, a numer gazety sztrasburskiej mógłby służyć za niezły „klucz“ do studyowania obu języków. Jest jednak parę gazet czysto francuskich; pod jak ścisłą cenzurą zostają, łatwo sobie wyobrazić.

Tak jak i dawniej, niższe klasy mówią wogóle narzeczem języka niemieckiego, dość niepodobnem do mowy literackiej; wyższe zaś bez wyjątku używają francuszczyzny, zabarwionej akcentem niemieckim. Nadpisy na rogach ulic, ogłoszenia rządowe, szkoły, uniwersytet, poczta, biura i wszystko ogółem, co zostaje pod bezpośredniem zawiadywaniem administracyi i policyi, używa przymusowo języka niemieckiego; ale większość szyldów, ogłoszenia prywatne, rozmowy po magazynach i miejscach publicznych — nie odstępują francuszczyzny. Marki i fenigi są wprawdzie w obiegu, ale się rachuje na franki i centymy, licząc frank po 80 fenigów.

Aby dać wyobrażenie o dyalekcie alzackim, przytaczam ustęp z dwujęzycznego pisemka humorystycznego „Das Elsas — L' Alsace,“ dodając tłomaczenie polskie. Jakiś *Schang* (to jest Jean) tak przemawia do swojego przyjaciela *Schakoba* (Jacob):

„Es gitt zweierlei Originale: die wo recht thuen un recht denke, wo d' Wohrheit liewe, den Arme an d' Hand gehn un mit em Unglück Mitlid han, wo d' Heuchler un d' Schmeichler verachte, allen Intriguante un alle Lüejer de Rucke kehre; die Originale, wo ihr Vermöje zuem Wohl von der Menschheit hingenn, denen isch Jedermann Ehr un Respekt schuldi. Awwer die wo eim d' Hand drucke un spüere sie nit, wo 's Lächle im G'sicht un de Gift im Herze traue, die wo üs fremdem Ledder welli grossi Rieme schnide, un nur lache, wenn en Anderer e Bein bricht; die wo ohne G'füehl, ohne Ufrichtigkeit un ohne Seel sin, die soll der Gukuk hole, un wenn i nit förchte dät, 's isch e Sind, dät i saue, die soll der Luzifer in der Höll erumfüehre.“ Znaczy to:

„Dwa są gatunki oryginałów: tacy co uczciwie postępują i uczciwie myślą, którzy prawdę kochają, ubogich wspierają i dla nieszczęścia współczucie mają, którzy obłudnikami i pochlebcami gardzą, do wszelkich intrygantów i kłamców tyłem się obracają; oryginały, co mienie swe dla dobra ludzkości oddają, takim każdy winien cześć i uszanowanie. Ale tacy, co rękę ściskają, a nic nie czują, co uśmiech na twarzy, a jad w sercu noszą, ci co z cudzej skóry chcieliby wyrzynać duże rzemienie i śmieją się tylko, gdy ktoś nogę złamie; tacy, co są bez uczuć, szczerości i duszy, takich niech licho porwie, a gdybym się nie obawiał, że to grzech, tobym powiedział, bodajby ich Lucyper po piekle oprowadzał.“

Ma się rozumieć, że rząd wszelkich usiłowań dokłada, aby młodsze pokolenie i w poprawnym języku i w prawomyślnych uczuciach niemieckich wyrosło. Wielkie tedy starania czyni, aby szkoły zrobić doskonałemi, a uniwersytet jednym z pierwszych w Niemczech. Za czasów francuskich były tu tylko dwa fakultety; obecnie buduje się okazały gmach nowy i od lat przeszło dziesięciu wszechnica posiada wszystkie wydziały. Do niedawnego czasu wykładał na fakultecie medycznym rodak nasz, p. Witkowski, obecnie powołany do Lwowa. W spisie studentów kilku tylko znaleźliśmy polaków.

Nie będę opisywał katedry, bo tę zna czytelnik jeżeli nie z naocznego oglądania, to z opisów i rysunków. Wieża jej uchodziła dotychczas za najwyższą budowę w Europie; lecz obecnie przerosła ją hamburska św. Mikołaja o parę metrów i obie kolońskie o 14 metrów. W połowie wysokości wieży jest platforma z domkiem, stojącym na miejscu, gdzie druga wieża stanąćby powinna. Widok z tej obszernej platformy jest bardzo rozległy i piękny: oko ogarnia równiny reńskie, sięgając z jednej strony Szwarcwaldu, z drugiej Wogezów; nawet góry Jura, w dni pogodne, rysują się na dalekim widnokręgu południowym.

Na ścianach wieży, na balustradach i na domku, o którym mówiłem, wyrzeźbiono mnóstwo nazwisk w miękkim czerwonawym piaskowcu, z którego cały tum zbudowany. Podróżni, od połowy XVIII wieku wpisywali nazwiska swe do księgi, a takich, którzy żądanie swe popierali datkiem, uniešmiertelniono wyryciem ich imion na bryłach kamieni. Spotkamy tu nazwiska Göthego z braćmi Stolbergami, Herdera, Lavatera, Voltaira i innych znakomitości. Znaleźliśmy też dużo nazwisk polskich; wśród nich kilka znanych. Wypisuję tu je, jako pamiątkę; w razach wątpliwych zachowuję pisownię oryginalną.

Józef Gorajski, Capitaine Polonois. 1812. — H. C. Dembowscy. F. Witosławski. 1818. — Rotmielski (?). A. Koczorowski 7. 4. 1819. — Feliks Kadłubowski. Jan Rusiecki. Polonois. 1818. — Adrien Krzyżanowski, Polonois, 26. 7. 1820. — C. P. Czetwertyński. J. J. T. Hourin (?). 1826.— Les deux comtes chefs Jusef (tak) Miglezynki (tak). Michał Brzostowski tous deux Polonei Confeder. ZXB. 1772. — Comte Ożarowski Polonois MSCP DZ3M (tak).— Alexis Dembowski 1785. — Les Polonois R. Czarnowski. A. Dunin, le 19 avril 1832. — François, comte de Binski (tak). Biere (zapewne Pierre) comte de Bnzki (tak). Joseph comte Wodzncki (tak). Joseph comte Ohsol..nki (zapewne Ossoliński). 1761. Henryk Niszkie (tak) Pol. B. Kuliński Pol. 1832. — Kamieński Pol. Off. 10. 6. 1832. — Mlle Lege de Londres et Wolicki de Pologne. — A. Kozłowski 1832.—Kazimierz Zawisza i Jerzy Uzdowski — Byli na tey wieży zdrowi z łaski Boski (tak). Apryl 3 R. 1778 (wewnątrz wieży). — P. Jarzinski (tak) 1834 le 31 aout. — Adolphe, comte de Krosnowski off. sup. polon. le 12 juillet 1834. — M. Okoński z Krakowa 1833. — P. Wichliński 19 8bra 1832.

Jako osobliwość, dodać mogę, że już nie na wieży, ale na drzwiach pewnego mieszkania zauważyliśmy nazwisko polskie wyryte... na bilecie wizytowym, z predykatem „Reichsbaron von...“ Ma się rozumieć, że o samem nazwisku, jak o Ryczywole, zamilczeć wolę...

Maurycy Saski*) nie był wprawdzie *Reichsbaronem*, pomimo to wyrył się w pamięci dziejów trwalej od napisu na marnym bilecie wizytowym. Wspominam o nim dlatego, że był poniekąd rodakiem naszym, i że zwłoki jego spoczywają w kościele św. Tomasza w Sztrasburgu. Na miejscu zniesionego ołtarza bocznego wznosi się wspaniały jego pomnik, roboty Pigalla (rzeźbiarza francuskiego, zm. w r. 1785) — grupa z białego marmuru, postaci naturalne: Maurycy zstępuje do otwartego grobu, który mu otwiera śmierć nieubłagana; Francya, w postaci kobiety, usiłuje go wstrzymać, a obok — Herkules, na maczudze wsparty, opłakuje stratę bohatera; dalej, na pokruszonych chorągwiach — zwierzęta symboliczne, przedstawiające mocarstwa, pokonane przez sławnego wojownika: orzeł austryacki, lampart angielski i lew holenderski. Jakkolwiek ogólne wrażenie widoku tego pomnika nie bardzo jest ujmujące i nosi na sobie cechę symboliczno-teatralną, oddzielne figury jednak są ślicznie opracowane i pełne życia. Pigalle podobno dwadzieścia lat nad niemi pracował.

Anim się spostrzegł, jak wpadłem na tor Bädekerowskiego opowiadania: nie mogłem pominąć przypomnienia bohatera, którego losy bliżej nas obchodzą. Czemprędzej wracam do wrażeń i wydarzeń osobistych, o ile one malują obecny stan zaboru pruskiego.

Otóż niejednokrotnie spotykaliśmy w Alzacyi maleńki, charakterystyczny rysuneczek pokazywany wcale nie pod sekretem i nawet sprzedawany; wyobraża on głowę żołnierza francuskiego, nakrytą znaną, czerwoną czapeczką wojskową; przewracając ją do góry, widzi się znowu głowę— bez hiszpanki i bez kepi, ale w pruskiej czapce i z pruskiemi wąsami; ma to symbolicznie wyobrażać aneksyę. Do tego rysunku pewien oświecony kupiec miejscowy taki nam wygłosił komentarz: Noussédions gomme-za (tu pokazuje francuza); à bréssent nous zeront gomme-za (tu odwraca i pokazuje niemca); mais piendôt nous zerons gomme-za (tu znowu odwraca na francuza). Bliższego określenia owego „piendôt“ wszakże nie udzielił...

W kilka dni potem rozmawialiśmy obszernie o polityce alzackiej z kupcami i przemysłowcami w Mülhuzie. Pomiędzy niemi przeważa zdanie, iż dla pomyślności Alzacyi i dla spokoju europejskiego najpomyślniejszą byłoby rzeczą, gdyby w r. 1871 z prowincyi tej, stanowiącej od wieków kość niezgody pomiędzy potężnymi sąsiadami, utworzono pas neutralny, coś nakształt Belgii lub Szwajcaryi, z własnym rządem monarchicznym lub republikańskim, pod gwarancyą europejską. Zdaje mi się, że taki pogląd znaczna większość umiarkowanych alzaczyków podziela, bo z obecnym stanem rzeczy bardzo chyba niewielu się pogodziło. Faktem jest, że ekonomiczne interesa prowincyi pogorszyły się od czasu przyłączenia do Niemiec (przypominamy charakterystyczną historyę fabryki tytoniu) i że większość czuje do rządu niemieckiego głęboką urazę, nie tyle za sam fakt aneksyi, ile za lekceważące niezapytanie mieszkańców, czy chcieli

*) Syn naturalny Augusta II, króla polskiego i hrabianki, Aurory Königsmark (ur. 1696, zm. 1750). *P. R.*

wrócić na łono Giermanii; niezawodnie, że chociażby nawet pod naciskiem bagnetów i presyi administracyjnej, głosowanie alzackie zredukowało się do pustej formalności, to pozory byłyby uratowane i miłość własna anektowanych nie byłaby ciężko obrażona; a z tem uczuciem nawet bagnety krzyżackie liczyć się muszą, bo Sztrasburg leży wcale blisko stolicy, w której sto lat temu rozprawiano coś o prawach człowieka...

Na Schlettstadt i Kolmar puszczamy się do Mülhuzy, aby się przypatrzyć, jak tam pamiętano o „prawach człowieka.“ Wrażenia nasze i spostrzeżenia odkładamy do następnego listu.

Jan Karłowicz.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Z. Gl... **Marzenia samotnika**, poemat ziemiański, Warszawa — 1883.

Alchemicy wieków średnich szukali skrzętnie kamienia filozoficznego i eliksyru życia; potomkowie ich dzisiejsi odziedziczyli po ojcach namiętność do rozwiązywania trudnych zagadnień. W szeregu tych ostatnich najpierwsze miejsce zajmują: godzenie religii z nauką i przekonywanie baranów o wysokiem posłannictwie wilków. Autor *poematu ziemiańskiego* do ognia swojej fantazyi przystawił obydwa tygle naraz. W jednym z nich smaży się Darwin w sosie apokalipsy, w drugim, pod działaniem togoż sosu, mieszają się ze sobą amalgamatycznie wszystkie warstwy społeczne.

Poznajmy treść poematu.

W pięknym dworze szlacheckim, na strychu (?), śród ksiąg i pergaminów, siedział młody *samotnik w kapocie* — postać, rozumie się, mytyczna. Osobnik ten musiał posiadać swarliwą żonę — inaczej trudno zrozumieć, co go skłoniło do odbywania studyów aż na poddaszu? Ponieważ nikt nań nie patrzał, pozwolił więc sobie zasnąć nad poważnemi księgami i puścić wodze niczem nieskrępowanej wyobraźni. Śniło mu się, iż widział istny raj ziemski. Właściwie mówiąc, w obrazie tym ustrój społeczny ani na jotę nie był się odmienił:

„*Kształtne* niosąc narzędzia, ochoczo wieśniacy
Podążali na własne zagony do pracy,
Inni byli najęci na łan ziemianina,
Którego dwór zasłania ogrodu gęstwina...“

Jednem słowem tak, jak dzisiaj, mieliśmy panów, chłopów i proletaryat wiejski, a pomimo to stosunki były iście anielskie! Jedyną, jak się zdaje, reformą była *kształtność* narzędzi rolniczych. Czynnik ten estetyczny dopomógł widocznie samotnikowi napełnić wszystkie serca jakimś eliksyrem wszechmiłości, przyrządzonym prawdopodobnie u niego, na poddaszu.

Ogród dziedzica, ozdobiony pięknemi posągami (znowu estetyka!) dostarczał obficie chłodu i cienia. Korzystając z tego, ziemianin (rozumie się ogorzały i z wąsem sumiastym) mógł spokojnie filozofować z młodą żonką o owych dawno minionych czasach (to niby naszych), pełnych grozy i grzechów, kiedy to ludzie „za dużo mówili po francusku“ i nie wierzyli, że

„Religia, nauka i poezya społem
Staną się jednej wielkiej myśli apostołem.“

i kiedy

„O stanowisku kobiet pisano ksiąg wiele,
Nie bacząc, że gdy przeznaczeniem
Mężczyzny jest ster życia publicznego w świecie,
To zadaniem niewiasty—jest strzedz u ogniska
Uczucie, srom, obyczaj.“

W tem miejscu, na pociechę czytelników, filozofia ziemianina została przerwana przyjściem do dworu starego lirnika. (Wiedziałem z góry, że będzie i lirnik).

Powoli wyjaśnia się jednak tajemnicza przyczyna owej anielskości ludzkiej. Okazuje się, że jej sprawcą jest... kobieta-matka, która

„wniosła plon drogi
Pod strzechę domu ojców, jako ta *Jedyna*,
Która powiła światu na zbawienie *Syna*.

Jest więc i mistycyzm:

Och, samotniku, jakżebym rad był obudzić cię ze snu i pokazać, że raj ziemski, jaki sobie wymarzyłeś, nie posiada istotnych warunków szczęścia! Pogrążony w kryształowych toniach estetyki, nie dostrzegłeś głębszych nurtów ludzkiego ducha: nie widziałeś pragnień ludzkości, nie słyszałeś ich jęków.

Nasz rymowany i nierymowany konserwatyzm zrobił w ostatnich czasach jedno wielkie ustępstwo nowym ideom. Zachowawcy przekonali się w końcu, jak potężnym czynnikiem społecznym jest oświata ludu. Nie chcąc zgrzeszyć bezwzględnością, wypisali oni wprawdzie na swoim sztandarze tylko pewien rodzaj oświaty, dla której monopolizują miano *uczciwej*.

Jest to, zdaje się, jakiś kaganek, który nie rozświecając zbytecznie w głowach młodszej braci, pozwala starszej wysnuwać cudowne poematy ziemiańskie — rozumie się, z ładnemi posągami w ogrodzie. Taka to oświata jest w ich oczach „apostołem jednej wielkiej myśli...“ utrzymania *status quo*.

Samotnik, w samym środku wymarzonej przez siebie wioski, postawił również świątynię dla owej par excellence ziemiańskiej Minerwy.

Zrobiwszy jedno ustępstwo, zachowawcy, a z nimi i autor poematu — myślą, że t. z. „uczciwe“ elementarze napędzą proletaryuszom takiej ochoty do pracy i takiej radości z oglądania cudzych posągów, że wielka reforma urządzeń społecznych stanie się zbyteczną. Złudzenie! Braterstwo „ziemian“ i „lirników“ pozostanie na zawsze synonimem hipokryzyi. Towarzystwo chłopów może nam sprawić przyjemność tylko raz do roku — na dożynkach. Obcowanie z dziećmi lub wszelkiego rodzaju niedorostkami wcześniej lub później sprowadza znużenie. Marzenia twoje, samotniku, są przedśmiertną halucynacyą konającej szlacheczczyzny. Nie prędzej będziesz mógł śnić różowo na swojem poddaszu, aż piękne posągi staną się własnością wszystkich, aż potomek dzisiejszego wyrobnika będzie miał zmysł do podziwiania ich kształtów.

Mówisz, że się odrodzimy przez kobietę. Dobrze, ale czy podejmujesz się dać każdej z nich piękny dwór pobielany i rozkosze cienistych ogrodów? Są, widzisz, wśród nas takie, które nie mogą ustrzedz swego „uczucia i sromu,“ nie mogą rozpalić ogniska, bo je zalewają łzy głodu i nędzy.

Kroju „kapoty“ samotnika nie można byłoby często zrozumieć, gdyby nie to, iż ukochał on taką poezyę, która

Nie unosiła ducha w przestworów krainy,
Kędy pusto i głucho, ani w Alp doliny,
Ale do *Soplicowa...*

Autor poematu, wraz ze swoim pupilem, jeździł do Soplicowa i stamtąd przywiózł jakieś stare suknie „Tadeusza.“ Powracając, zdążył je trochę przerobić i przykroić do wzrostu swego ulubieńca; pomimo to jednak naśladownictwo jest rażącem—i uderza zaraz na wstępie:

W cichym zakątku kraju, mało światu znanym,
Mcdrą wstęgą przejrzystej rzeki przepasanym,
Strojnym w *brzozowe gaje* i łąki zielone,
Na których rolnik wznosi stogi niezliczone
Pod cieniem lip odwiecznych stał dworzec drewniany,
A dość krzepko stał jeszcze. Białe jego ściany... itd.

A u Adama:

Na pogórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki z drzewa, lecz podmurowany;
Świeciły się zdaleka pobielane ściany... itd.

W ostatnich czasach często zarzucano mowie wiązanej, iż krępuje myśli i kaleczy język. Druga część tego zarzutu i pana Z. Gl. sprawiedliwie dotknąć może. W jego np. *Marzeniu* poranek „*zajaśnia*,“ konik drewnianą szablę zamienia „*w stalną*,“ panienki przynosiły turban „*starcu*,“ a ludzie „*sromali*“ cichej łzy. Po cóż było uciekać się do rymów, jeżeli te u p. Z. Gl. żywią tak wielką nienawiść do przypadków i czasowania słów zaimkowych?

M. B.

Faustyn Świderski (Ex-bocian). **Pisma humorystyczne. Zeszyt I.**

Od lat kilkudziesięciu Ex-bocian zamieszczał w różnych pismach swoje elukubracye wierszem i prozą; obecnie przyjaciel jego, p. Fuchs zebrał je, uporządkował i wydaje zeszytami w Częstochowie (zupełnie odpowiednia miejscowość). Jakkolwiek wyszedł dopiero pierwszy zeszyt, śmiało wnioskować możemy o całym zbiorku, bo i rodzaj i stopień talentu autora już z tej pierwszej seryi są widoczne.

Wielką wyrządzili krzywdę p. Świderskiemu zbyt życzliwi przyjaciele, zrobiwszy go „ostatnim przedstawicielem rodzinnego, szczeropolskiego humoru,“ jak niemniej usłużna reklama naszej prasy, widzącej w tych ramotach „czystą krynicę narodowego dowcipu.“ Skromny i cichy wierszopis wyobraził sobie, że prace jego w samej rzeczy mają nie małą wartość, i rozprawia o tem z powagą; czytelnik zaś, wziąwszy do ręki przecenianą książkę, po przewróceniu kilku kartek — odrzuci ją z niesmakiem, posądzając może zarówno wydawcę, jak i autora o spekulacyjne zamiary.

Krytyk nie może być tak bezwzględnym, przyznajemy więc chętnie pracom Ex-bociana dużo poczciwych chęci, dużo jak najlepszych zamiarów, ale nie możemy dopatrzeć w nich ani odrobiny... talentu. W swoim czasie i w pewnej sferze czytelników miały one zapewne znaczenie; dziś wszakże od satyryka i humorysty wymagamy zarówno szerszych poglądów, jak i wdzięczniejszej formy.

Ramoty Wilkońskiego, które tak zachwycały naszych ojców, wydają się nam bezbarwne, często niesmaczne i nudne, jednem słowem zgoła niedowcipne. A pan Świderski jest tylko uczniem i naśladowcą Wilkońskiego; ale co do talentu—nie wytrzymuje nawet porównania z mistrzem.

Dość przytoczyć tytuły utworów, ażeby mieć pojęcie o rodzaju dowcipu autora: „*Wojna owadów przeciw profesorowi Wadze, Wielka defilada żab, Wielki koncert i dzień radosny wszelkiego rodzaju zwierzyny*“ i t. p. gawędy, wierszowane dość gładko, ale pozbawione nietylko poważniejszej treści, ale nawet wesołego dowcipu. Satyra Ex-bociana nie sięga również głęboko: gani ona guzdralstwo, drobnostkowość, siedzenie pod pantoflem i t. p. niewinne słabostki ludzkie. Ten sam zakrój noszą *Gawędy starego rolnika*, pisane prozą. Są to krótkie, luźne opowiadania o gorzelniku niemcu, o owczarzu-cudotwórcy, o różnych wypadkach i wypadeczkach szlacheckiego żywota, z wierszowanym morałem na końcu. Wszystkie figury noszą nazwy odpowiednie ich charakterowi: pan Lisowicz, p. Guzdralska, p. Gapiński i t. p. Rubaszność szlachecka często przekracza miarę. W powiastce np. *Zemsta za mur graniczny* osią intrygi jest fakt—wybudowania przez jednego z sąsiadów, przy samym murze granicznym, „zbiornika szczeropolskiego humoru“... chciałem powiedzieć — budynku ekonomicznego, i wynikające stąd kolizye... Prawda, że nie wszy-

stkie kwiatki, uszczknięte na ojczystej niwie, wydają tak silny zapach, ale w większej części pozbawione są zupełnie woni.

Może zbyt surowo wypadł nasz sąd o szanownym Ex-bocianie. Działalnośćjego literacka ma i dodatnie strony. Ale chodziło nam o zaprotestowanie przeciw przesadzie przyjacielskiej reklamy i sprowadzenie zasług pisarskich p. Świderskiego do właściwej miary. Winę słów przykrych niech więc Autor przypisze swoim... zanadto życzliwym wielbicielom. My, co dotychczas nie możemy zdobyć się na tanie wydania pism koryfeuszów naszej literatury — posiadać będziemy kompletny zbiór figlików Ex-bociana. — Ależ to bezczelność, szanowni panowie!

J. L. P.

LIBERUM VETO.

Zmiana haseł *Kuryera Warszawskiego*. — Jego antyfona do sędziów-kruków. — Uniwersytet dla kobiet z programem *Biesiady literackiej*. — Wynikająca stąd potrzeba reformy w ukształceniu „panów.“ — Odwaga cywilna d-ra Pollaka. — Rozmowa delegata z administratorem. — Prośba do kolegów z *Wędrowca*.— Wezwanie do członków komitetu muzeum w Krakowie. Pilny interes do p. Gregorowicza i nieśmiała propozycya pewnemu dyrektorowi. — Przygoda kaszlącego staruszka w lecznicy prywatnej.

Redakcya naszych *Timesów* z placu teatralnego, ulegając wymaganiom czasu, odważyła się wkońcu zmienić godła, pod jakiemi dotychczas walczyła. Zamiast trzech *brudno-zielonych* szyldów wywiesiła ona nad bramą trzy *czarne*, złotemi ozdobione literami... Nie płaczcie jednak, wy wszyscy, którzy lubicie czytać wierszowane ogłoszenia o Saskiej kępie: tradycya *zieloności* w Kuryerku niezaginęła! Przeniosła się ona tylko z ulicy do wnętrza redakcyi. Razem z tą barwą występuje czasem inna —różowa, w postaci młodzieńczych złudzeń. Rąbek takiej dwubarwnej tęczy widziałem w jednem z „wydań porannych,“ czytając anteryfonę Kuryera do sądu handlowego. „Pod twoją obronę uciekamy się, sądzie handlowy, abyś nas wybawił od nagłych i niespodziewanych bankructw naszych zacnych kupców.“ Takie mniej więcej było brzmienie modlitwy. Przeczytawszy ją w cukierni oddałem gazetę pewnej, siedzącej obok mnie „poważnej firmie.“

— Jakże się podoba modlitwa? — pytam po chwili.

— Dobra. Wiem już nawet, jaką dewizę obiorą sobie przyszli sędziowie bankrutów.

— Jaką?

— Kruk krukowi oka nie wykole...

Ponieważ przysłowie to nie broni wszelkich innych operacyj oftalmicznych, więc pragnąłbym rozszerzyć źrenice mego kolegi z *Biesiady literackiej*, aby mógł pokonać panujące w tem pisemku ciemności. Pan *Iru* (pseudonym felietonisty) w dalszym ciągu swego „Bałamucenia Opinii“ proponuje założyć dla naszych kobiet uniwersytet, w którym wykłady zaczynałyby się od „katechizmu i obyczajów,“ a kończyły na „białych fartuszkach, rądelkach, przysmaczkach, konfiturkach,“ no i zapewne *placuszkach*, pod które gorąco polecam *Biesiadkę*. Potrzebę takiej a nie innej akademii popiera autor—żywem pragnieniem, aby panie nasze raz już nauczyły swoją służbę, że nie kupuje się *bułków*, i przekonały swych synów, że gimnazyum się *otwiera*, a głowę się *odkrywa*. Ponieważ program tego uniwersytetu, pomimo przypuszczalnego kierownictwa pani Ćwierciakiewiczowej, nie przekraczałby granic szkółki ludowej, więc „panio“ nie dowiedziałyby się tam o istnieniu gimnazyum. Nic to nie szkodzi. Odgradzanie się katechizmem od cywilizacyjnych prądów Europy, i dawniej i dzisiaj, tyle przyniosło nam pożytku, że wobec tego kobiety nasze mogłyby dla p. Iru *odkryć* bodajby wstępną klasę gimnazyum i *otworzyć* mu głowę. Czyż jezuici nie obronili nas dawniej od tak zgubnej dla kraju tolerancyi religijnej? Czyż pobożne naśladowanie przodków nie uwolniło nas w porę od szkodliwej kastowości szlacheckiej? Czyż modlitwą nie ochroniliśmy nawy politycznej od rozbicia? A dzisiaj? Czyż nie znamy „starego i nowego testamentu?“ Czyż dziewoje nasze nie wiedzą, że „zaprawdę nie masz w niebiesiech ani żony, ani męża,“ że sprawy matrymonialne należy załatwiać na ziemi i że „gdy oblubieniec nadchodzi potrzeba mieć dużo oliwy w lampie“ i trochę oleju w głowie? Czyż nie uczymy córek naszych od dziecka, że kokardę należy nosić na lewem ramieniu? Czyż dwuletnie bębny nie chodzą u nas w bernardyńskich habitach i czyż samym tylko chlebem karmimy synów naszych, zaprowadziwszy ich do cukierni lub owocarni?

Bogactwo ducha naszych „pań“ każe litować się nad „panami“ i obmyśleć dla nich jakieś nowe źródła cywilizacyi. Panie Iru, pozwól mi uzupełnić twój projekt. Ponieważ nasi stróże kameralni nie znaleźliby w głowie pańskiej *pięciu klepek*, gdyż *ciągiem sukajom piąci klepków*, więc postarajmy się o zamknięcie naszego uniwersytetu. Ponieważ redaktorowie naszych pism *pohopnie* oddają się *chodowli* bąków, a sekretarze redakcyi *troppo tardo* i do tego z *negligencyą attentują fatalne momenty*, więc zawieśmy nasze dzienniki i proślny pana Prószyńskiego o dostarczenie nam „wzorowych elementarzy.“ NB. *Biesiada* za szlachetną inicyatywę otrzyma dwa egzemplarze darmo.

Daleko wyżej oceni potomność inicyatywę i cywilną odwagę d-ra J. Pollaka.

Nieznośne, ciągle panujące upały tak dalece oswoiły tego lekarza z myślą o samobójstwie, iż postanowił on osobiście lub za pośrednictwem stosownej komisyi zbadać... hygienę naszych fabryk. Kilkudziesięciu delegatów rozejdzie się więc wkrótce po najbrudniejszych zaułkach miasta. Zgóry mogę już przytoczyć schemat rozmowy tych odważnych obywateli z administratorami zakładów.

Delegat. Chciałbym dowiedzieć się o hygienicznych warunkach pracy w fabryce panów.

Administrator. A, to pan z *tej* komisyi! Owszem, owszem... pan dobrodziej był na ostatniem przedstawieniu Reszkówny?...

D. Nie. Więc jakże u pana jest np. z ilością godzin roboczych?

A. Różnie bywa... Proszę pana, czy to prawda, że hr. Chambord już nie żyje?...

D. Tak. Ależ tu u panów ciasno i duszno!...

A. Cóż robić, łaskawy panie, ciężkie czasy: stagnacya, konkurencya, hiperprodukcya—zresztą... cholera w Egipcie, wojna w Tonkinie...

D. (Ironicznie). Przejście Wenery przez tarczę słoneczną...

A. Widzi pan, wszystko przeciwko nam się skupiło!..

D. Wszak ekonomia społeczna nakazuje...

A. Przecieżeś pan nas zrozumiał. Właśnie nam najbardziej chodzi o *ekonomię*...

D. Ale ja mówię o ekonomii politycznej.

A. Niechże nas Bóg broni! To panu dobrodziejowi ktoś fałszywie doniósł. My tutaj w żadną politykę się nie wdajemy... Pracuje się panie po bożemu, po staropolsku i basta! Mieliśmy wprawdzie jakiegoś obdartusa, co zawracał robotnikom głowy o wentylacyi... Może to o nim pan myśli? Jużeśmy się go pozbyli.

D. (zrozpaczony). Nauka wyraźnie domaga się...

A. Nauka? Ależ tu u nas fabryka... Nauka nam chleba nie daje...

D. Więc wkońcu gdzież wasze uczucie, zrozumienie obowiązku?

A. Zakład nasz nie istnieje jeszcze 25 lat, a przecie *Kuryerek* mówi, że umożliwienie robotnikom hygienicznego życia nawet po ćwierćwiekowej pracy — nie jest jeszcze obowiązkiem.

Jakżem się zmęczył! A muszę jeszcze w imieniu różnych osób i instytucyj wystosować aż kilka podań.

Z upoważnienia *Wędrowca* upraszam wszystkie nasze tygodniki „poświęcone podróżom i krajoznawstwu,“ aby nie odbywały wycieczek w dziedzinę *filologii*. *Wędrowiec* prosi o to kolegów po smutnem doświadczeniu, zdobytem w drodze do tej nieznanej sobie krainy. Nazwę ukraińskiego miasta *Taraszczy* chciał on źródłowo wyprowadzić od francuskiego wyrazu *terrasse*; okazuje się jednak, iż pochodzenie tego miana jest całkiem inne. Wywodzi się ono z małoruskiego czasownika *taraszczyty*, co znaczy *wytrzeszczać* i przypomina, iż niejeden Taras ukraiński słuchałby lingwistycznych bajek *Wędrowca*, *wytaraszczywszy oczi*.

W imieniu naszej sztuki wzywam artystyczny komitet krakowski o zebranie się choć raz przecie na jakąś naradę, w celu urządzenia dawno oczekiwanego muzeum. Arcydzieła Siemiradzkiego, Matejki i innych oddawna tułają się po mieszkaniach prywatnych, oczekując litości od pp. członków. Pośpieszcie się panowie z uchwałą i zróbcie cokolwiek przed wysłaniem tam do was z Warszawy trzech obrazów, o których wiem, że są już na ukończeniu.

Obraz pierwszy. Prezes komisyi muzealnej, śpiący w kościele panny Maryi nad modlitwą „O wspieraniu sztuki ojczystej.“ Na dalszym planie ulicznik krakowski skrobie *marchewkę*.

Obraz drugi. P. Pindter wywlekający z pod pierzyny członków pewnego komitetu.

Obraz trzeci. Odsiecz „pochodni Nerona,“ oblężonych przez myszy: główną bohaterką jest stara przekupka krakowska, z miotłą.

W interesie naszych dzieci proponuję p. Gregorowiczowi, aby ich nie okłamywał, że pończoszki i trzewiczki można przesyłać drogą telegraficzną. Bezbronne istoty nie będą mogły poznać się na wadliwości tej dzikiej mechaniki. Ani pan Iru, ani matki nie wyprowadzą ich z błędu. Pierwszy zajęty jest teraz układaniem nowego programu uniwersyteckiego, w którym *mechanikę* zaliczył do nauk *przyrodniczych*, drugie zaś nigdy nie uczyły się fizyki, a zresztą w porze dojrzewania wisien, trudnią się smażeniem konfiturek w rądelkach.

Nakoniec do p. Olendzkiego, politycznego dyrektora *Słowa* zanoszę pokorną prośbę, aby ze swojej socyologii wyrzucił *rózgi*. Dla mnie taka energiczna interwencya ducha św. posiadałaby wartość o tyle, o ile przy jej pomocy zdołałbym zapędzić naszych polityków do książki i nauczyć ich, że chorób społecznych ani rózgą, ani więzieniem się nie leczy.

Już miałem zamknąć dzisiejszą kronikę, gdy do redakcyi przyszedł znajomy staruszek... ze skargą. Biedak mocno kaszle i powracał właśnie z pewnej lecznicy prywatnej, w której go literalnie zwymyślano. Takie niedobre i niewłaściwe zachowanie się doktora z pacyentem zdziwiło mię tembardziej, że nazwisko Eskulapa z niem nie licuje.

„Czegóż oni odemnie chcieli? — stękał stary. Czyżby dla tego, żem zapłacił, zamiast rubla — dwa złote? Ależ taka jest przecie taksa!“

Nie wiem, czy domysły chorego były słuszne. Jeżeli tak, to dla uniknięcia w przyszłości wszelkich nieporozumień

z pancyentami—niegrzeczny konsyliarz powinien wywiesić nade drzwiami lecznicy tabliczkę z napisem:

„Zastrzega się prawo wyłajania pacyenta na sumę czterech złp. i groszy dwudziestu.“

Doktorowi nietylko w opatrywaniu chorego, ale w połajankach dopomagał jakiś felczer. Nie narażaj się, zacny pachołku Eskulapa; mógłbyś bowiem natrafić na współzawodnika w stawianiu... suchych baniek.

Starszy twój kolega powinien cię o tem uprzedzić.

P. o. P. P.

W PERSPEKTYWIE.

Królewska ofiara.— Losy naszej Minerwy sielskiej i jej kapłanów. — List p. H. N. i ilustracya do niego. — Ożywiony ruch na naszych horyzontach. — Co zrobić z potokami złota? — Poszukiwania szlachetnej hypoteki.

Pani Branicka, właścicielka znacznych dóbr na Ukrainie, ofiarowała przeszło 280.000 rs. na założenie w swych dobrach aż 218 szkół rzemieślniczych. Na początek ma ich powstać trzydzieści kilka...

Dwieście ośmnaście szkółek w jednej prowincyi — doprawdy to zakrawa na Europę. Aż chce się przymknąć oczy i pomarzyć rozkosznie o tem, jak to kiedyś ze wszystkich tych wiosek ciemnota będzie sromotnie wyświeconą, jak okoliczni aferzyści i spekulanci będą ją odprowadzali z płaczem, jak na głowę ofiarodawczyni posypią się przekleństwa w hebrajskim i „błogosławieństwa zdroje“ w małoruskim języku.

Jedno mię tylko niepokoi. Gazety doniosły, iż uposażenie przyszłych zakładów i ich kierowników będzie dostatnie; że przedstawiciele oświaty będą mogli pupilom swym imponować całemi bótami; tymczasem ja dotychczas zrozumieć nie mogę skąd się na to wszystko wezmą pieniądze? Na każdą szkołę przypada przeszło *tysiąc* rs. kapitału zakładowego. Gdyby sumka ta dawała nawet 10%, to i w takim razie na całą szkołę i całego pedagoga nie wystarczy. Wiem, że wiele można będzie rachować na pomoc samych włościan, na wynagrodzenie od nich *w naturze*; ale i w tym wypadku uposażenie nauczyciela będzie nęciło — albo poświęconych tylko kapłanów oświaty ludowej, albo zrozpaczonych na kijowskim bruku utrapieńców. Pierwszych jest wszędzie bardzo niewielu, drudzy, jako niepowołani, byliby prawdziwą dla młodzieży plagą. Nie można również obarczać przyszłych wychowańców szkoły znaczną opłatą wpisową; gdyż ta przerzedziłaby szeregi małych rycerzy hebla i szydła. Skądże więc będą pieniądze?

A jednak dola nietylko przyszłych, *ukraińskich*, ale i obecnych, *nadwiślańskich* nauczycieli ludowych pilnej domaga się poprawy. Od jednego z tych cichych wysłanników Minerwy, niejakiego p. H. N. otrzymujemy w tej chwili pismo, które w całej jego osnowie tutaj przytoczę.

„Wiadomo powszechnie — mówi korespondent — że *najszczuplej* u nas uposażonymi materyalnie są nauczyciele wiejscy i dlatego też wyzyskiwanie ich w jaki bądź sposób jest występkiem, który staje się zbrodnią, jeżeli obarczy sumienie ludzi, obowiązanych starać się o polepszenie bytu tych pracowników. Do rzędu takich wyzyskiwaczy należą często pp. wójci gmin. W rękach tych dostojników na mocy punk. V. art. 24 Najwyższego Ukazu z d. 19 lut. (2 marca) 1364 r. o urządzeniu gmin wiejskich — spoczywa nadzór nad szkołami, do gminy należącemi. W rozwinięciu i dopełnieniu wydanych w myśl tego punktu „urządzeń gminnych“ — do atrybucyj tychże wójtów należy, odpowiednio do etatu, robić rozkład podatku szkolnego i opłacać nauczyciela z zebranych tą drogą pieniędzy. Naturalnie, że w odnośnych przepisach są także wskazówki i co do sposobu wypłaty nauczycielowi pensyi, a nadto cyrkularz naczelnika dyrekcyi naukowej warszawskiej, wydany do wszystkich wójtów, poleca tymże, aby wynagrodzenie nauczycieli, w razie niezgłoszenia się ich w terminie, było im przesyłane do szkoły, przy której pełnią obowiązki. Wymaganie takie jest bardzo słuszne. Szkółki znajdują się często w odległości dość znacznej od zarządu gminnego; nauczyciel zatem, najmując za każdym razem furmankę dla odbioru swej homeopatycznej pensyi, uszczuplałby takową znacznie. Niestety, przepisy te pozostają częstokroć martwą literą i wykonywane bywają przez wójtów — chyba wyjątkowo. Nauczyciele wiejscy niepłatni są czasem po kilka miesięcy, po pół roku, i chociaż, niekorzystając z prawa przysługującego im na mocy okólnika dyrekcyi — wydeptują często milową drogę do pana wójta, to jednak, zamiast marnego kruszcu, spotykają nieraz niegrzeczne przyjęcie swego „naczelnika.“ Satrapa gminy, objąwszy często godność swoją zaraz po wypuszczeniu z rąk insygniów karbowego lub włodarza, nie może zwykle zrozumieć, co nauczyciel robi ze swoją olbrzymią 150-rublową pensyą: dla czego tak gorliwie pilnuje się tego *pierwszego*.“

Idealiści mogą się spytać tutaj, dlaczego nauczyciel w razie niepunktualności wójta, nie postara się u swojej władzy o ukrócenie tego nadużycia? Odpowiedzi na to pytanie dostarczy nam kolega p. H. N. Ten istny towarzysz niedoli naszego korespondenta, nie tylko że do połowy czerwca nie był otrzymał pensyi—nawet za styczeń, ale mu się jeszcze z *przeszłego* roku coś należało. Należności tej jednak nie chciał on poszukiwać zbyt natarczywie, o to pod wpływem następującej, słusznej zresztą uwagi. „Hm... Ja mam żonę i czworo dzieci, a na utrzymanie tych moich pociech i siebie samego—200 rs. rocznej pensyi. Za mało. Nic więc dziwnego, że poza godzinami, przeznaczonemi na naukę dzieci, szukam innego zajęcia, aby pasmo dni swoich przedłużyć. Jeżeli napiszę do władzy z prośbą o nakaz wypłacenia mi pensyi, to takową niewątpliwie dostanę. Ale—jeżeli nie przez zemstę, to przez naśladownictwo zapewne—p. wójt zechce także zaraz *napisać do władzy*, ubolewając, jako opiekun szkoły, że nauczyciel X. jest niedbały, że zamiast pilnować swych obowiązków, trudni się czemś innem, *źle uczy* (o tem wójt dowiedział się od znachora, gdyż sam zaledwie podpisać się umie) i masę innych bredni. Wszystko to, razem wzięte, grozi mi co najmniej przeniesieniem na gorszą posadę, to jest z mniejszą pensyą i jeszcze w taki zakątek, gdzie, oprócz zajęć szkolnych, niczem nie będę mógł przysporzyć sobie dochodów. Tak więc droga skargi jest dla mnie przeciętą i muszę zgodzić się z wolą Boga i wójta.“

Monolog ten, który tu prawie dosłownie przytoczyłem, powinien odstręczyć idealistów od zaklętego koła pytań bezwzględnych. P. H. N. tymczasem podał znakomity, jak sądzę, sposób na „sposoby“ wójtowskie. Gdyby też np. odnośna władza poleciła wójtom, aby w ciągu dni kilku, po każdym ostatnim lub też po każdym pierwszym dniu miesiąca, składali oni dyrekcyi naukowej albo naczelnikom powiatów... pokwitowania nauczycieli z odebranych pieniędzy? Środek taki, nie zakłócając wójtowsko-nauczycielskiej harmonii, uwolniłby napewno pedagogów i ich rodziny od przymusowego postu. Projekt ten naszego korespondenta polecamy gorąco uwadze naszej władzy wyższej.

Na zakończenie tych smutnych dziejów głodnej Minerwy wiejskiej przytacza pan H. N. zajmującą ilustracyę. W powiecie Łaskim, gminie Widawa, nauczyciel nie odbierając w ciągu 5 miesięcy należnej mu pensyi, przez cały ten czas stołował się na kredyt, u miejscowego rządcy majątku, p. M., któremu też na zaspokojenie należności przekazał do odbioru swoją pensyę w kwocie rs. 45. Zgłaszającemu się po nią panu M. wójt odpowiedział:

„Jak będą pieniądze, zapłacę; teraz nie mam i nie dam.“

Ale p. M. jest człowiekiem o tyle zdemoralizowanym, że nie wierzy już nawet wójtowi. To też usadowiwszy go w karczmie pod kranem aparatów rozczulających, a nadto obiecawszy mu „zdyskontowanie“ rewersu na jego korzyść,—pieniądze w ilości rs. 42 otrzymał. Stopy dyskontowej, co prawda, nie uznał „kantor“ naczelnika straży ziemskiej i polecił wójtowi obniżyć ją do zera %, przez co p. M. przyszedł napowrót do posiadania swoich 3 rubli; ale czy zawsze kantory naczelników mogą dowiedzieć się o takich operacyach?

Na horyzoncie naszym (bodajbym nie przechwalił!) coraz większe życie się spostrzega. Ziemiaństwu spółki rolnicze, asekuracyjne—na seryo zajechały do głowy. „Tacy, panie dobrodzieju, jesteśmy zajęci, że nawet żniwa nie przeszkadzają nam zjeżdżać to do Płocka, to do Piotrkowa, to znów na jakiś konkurs żniwiarek w lubelskiem.“ Pięknie, panowie! Poszukajcie tylko *właściwych* upustów dla owych potoków złotego kruszcu, jaki z kantorów spółkowych wpłynie wkrótce do waszych kieszeni. A może chcecie, abyśmy tu w Warszawie obmyślili na wasze dukaty jakąś zaszczytną hypotekę? Dobrze, w przyszłych kronikach wystąpię z szeregiem projektów.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 18 lipca.

Rocznica wielkiej rewolucyi. — Zaburzenia w Roubaix. — Hr. Chambord. — Podróż Franciszka Józefa. — Dziennikarskie kwestye i Sejm czeski.

W zeszłą sobotę cała Francya uroczyście obchodziła święto narodowe, dziewięćdziesiątą czwartą rocznicę zburzenia Bastylii. Uroczystość odbyła się w Paryżu z wielką świetnością i ładem, ale tu i owdzie na prowincyi miały miejsce rozruchy i demonstracye, skierowane przeciw istniejącemu rządowi. Do monarchistów, piętnujących święto 14 lipca mianem rocznicy mordu i zbrodni, przyłączyli się obecnie i anarchiści. Rzeczpospolita mieszczańska, przedstawicielka opasłych episyerów, zawiodła oczekiwania mas ludowych. Dzienniki reakcyjne z radością konstatują coraz silniejszy rozdział między rządem a większością narodu, i przepowiadają chwilę bliskiego tryumfu monarchii; lud bowiem rozczarował się w swym ideale.

Tak źle znowu nie jest; bo jakkolwiek robotnikom francuskim sprzykrzyło się czcze gadulstwo przedstawicieli, i z chęcią przyłożyliby rękę do nowej rewolucyi, ale nigdy na korzyść monarchii — mniejsza o to—jakiej, czy z „bożej łaski,“ czy z woli narodu pochodzącej. Dzisiejsza rzeczpospolita francuska nie jest idealną, ale posiada wszystkie dane do dalszego rozwoju.

Na radykalistów przykre wrażenie wywarła odmowa amnestyi dla Ludwiki Michel i skazanych wespół z nią lub poprzednio, w Lyonie, anarchistów. Deputowany Clovis Hugues interpelował w tym przedmiocie Izbę, słusznie twierdząc, że kiedy spekulanci Bontoux i Feder, którzy

oszukali tysiące ludzi na dziesiątki milionów, skazani zostali na dwuletnie więzienie, dlaczego tak surowa kara spotkała Ludwikę Michel i jej towarzyszów, za burdę uliczną, która zrobiła piekarzom szkody najwyżej na 100 franków. W Roubaix zgromadziło się kilkuset anarchistów dla zaprotestowania przeciw odrzuceniu amnestyi. Policya naprożno wzywała ich do rozejścia się; tłum nietylko nie usłuchał rozkazu, ale gwałtem chciał opanować ratusz. Podczas bójki—komisarza policyi i kilku jego podwładnych mocno pobito.

Stan zdrowia hr. Chamborda pozostał bez zmiany. Łoże jego otacza cała zgraja burbońskich kruków, czyhających na ten wątpliwej wartości spadek. Z jednej strony występują burboni hiszpańscy — don Carlos i książę Parmy, z drugiej orleani. Dla Francyi śmierć ostatniego Burbona nie będzie miała poważniejszego znaczenia; tylko partya legitymistów zniknie i zmuszoną będzie połączyć się z orleanistami lub bonapartyzmem.

Cesarz Franciszek Józef podróżuje po Styryi i Krainie; według wiadomości półurzędowych gazet—ludność przyjmuje go z niekłamanym zapałem. W pewnej tylko sprzeczności z temi doniesieniami stoją nadzwyczajne środki ostrożności, przedsięwzięte przez policyę austryacką. Najwięcej obawiają się zamachu ze strony irredentystów włoskich. Towarzysz Oberdanka, uwolniony przez sądy włoskie—Rahoza zbiegł z Genui, gdzie stale mieszkał, a o miejscu pobytu jego niema żadnych wieści. A tu jeszcze, na domiar kłopotów, Franciszek Józef zamyśla podobno odwiedzić króla włoskiego w Medyolanie. Policye obu świeżo sprzymierzonych państw tropią bez odpoczynku, ale na ślad żadnej konspiracyi wpaść nie mogą.

Z innych krajów nie nadchodzą wcale ciekawsze wiadomości. Zaczęła się właśnie w polityce t. z. martwa pora. Gazety niemieckie z przekąsem rozpisują się o pielgrzymce dziennikarzy i literatów węgierskich do Paryża, utrzymując, że podobne manifestacye nie mogą zachwiać austryo-niemieckiego przymierza, opartego na wspólności interesów tych państw; angielskie oburzają się na francuskiego admirała w Madagaskarze, który podobno bardzo niegrzecznie obszedł się z oficerami angielskimi; rosyjskie wreszcie poruszają znowu kwestyę rosyjsko-chińskiego nieporozumienia. Są to wszystko wiadomości dla zapełnienia szpalt, pozbawione wszelkiego znaczenia realnego.

Sejm czeski wybrał już członków wydziału: 3 czechów, 3 niemców i 2 konserwatystów, którzy głosować będą z autonomistami. Pełne godności i umiarkowania postępowanie czechów kością w gardle stoi centralistycznej prasie, która podniosła już krzyk o zagrożonej niemczyźnie (bedrohte Deutschthum). Teraz wypada spuścić z tonu, bo do płaczliwych skarg o ucisku słowiańskim niema najmniejszych powodów.

CUDZE GŁOSY.

Z ostatnich wyborów w Galicyi. Wiadomo, jakich środków używał komitet centralny dla zjednania głosów swoim wybrańcom. Dotąd jednak sądziliśmy, że kupowano tylko wyborców; w ostatnim numerze *Strażnicy* znajdujemy ciekawą wiadomość o przekupieniu kandydata:

„Dopiero dziś możemy spełnić obowiązek—donieść, jakiego niecnego czynu się dopuścił—nie z przekonania, ale za pieniądze, obywatel kraju, któremu jego współobywatele i bracia po krwi zaufali.

Tym razem jest to człowiek, który się urodził i nazywa rusinem, a nawet miał tę cywilną odwagę, że przybył na wiec ruski do Lwowa; lecz pomiarkowawszy, jak to mówią, pismo nosem, wyniósł się cichaczem.

Jest to pan Aleksander Hryniewiecki z Buska, były kandydat na posła do sejmu krajowego, postawiony przez komitet ruski przedwyborczy. Otóż zaufaniu braci rusinów w ten sposób odpowiedział, że dał ucho ponętnym, bo brzęczącym i szeleszczącym przedstawieniom ajentów komitetu centralnego, i sprzedał się za 2000 złr., wyraźnie za dwa tysiące złr., aby odegrać nikczemną rolę, udawać, że kandyduje (!), by tym sposobem nie dopuścić innego kandydata, któryby nie licował z poglądami komitetu centralnego. Wprawdzie w tym wypadku był obywatel zacny kandydatem komitetu centralnego, bo hr. Tadeusz Dzieduszycki. Ten jednak, gdy mu przedstawiono, że kontrkandydata z obozu ruskiego potrzeba kupić, oburzył się na samą propozycyę, jako niemoralną i wręcz oświadczył, że na taki cel, który mu jest wstrętny, nie da ani centa. Pomimo to komitet centralny, który się inaczej na takie *błahostki* zapatrywał, znalazł na ten cel pieniądze; chodziło tylko o to, komu je powierzyć; gdyż nie wypadało dawać wprost p. Hryniewieckiemu do rozporządzenia. Pan H. będąc obecny na radzie tej, wskazał wyraźnie, jako swego pośrednika—Icka Goldberga...“

Rozumie się, „kandydat narodowy“ został wybrany, „zdrowy rozum większości narodu“ oparł się podszeptom szkodliwych agitatorów itd. Źle tylko na tej sprawie wyszedł pono p. Hryniewiecki, bo przyjaciel jego, p. Goldberg, zatrzymał sobie za pośrednictwo aż 1500 złr.

Strażnica obiecuje dalszy ciąg niezmiernie ciekawej, zakulisowej historyi wyborów:

„Na tę nutę moglibyśmy jeszcze długo śpiewać, a mianowicie—o księdzu Warywodzie z pod Doliny i o ciekawych faktach wyborczych, dotyczących ks. Adama Sapiehy w ziemi przemyskiej, w jaki sposób odniósł zwycięstwo nad hr. Aleksandrem Krukowieckim. Czytelnicy nasi nie będą jednak długo czekać na te ciekawe sprawki.“

Dwojaka propaganda. *Berliner Tageblatt* dopatrzył związku między propagandą socyalistyczną a narodowemi dążeniami w Poznańskiem:

„W Poznaniu toczy się obecnie proces socyalistyczny, który wzbudzać winien niezwykły interes. Jeżeli tajna, socyalno-demokratyczna propaganda już sama przez się jest przedmiotem wątpliwości i obaw, a przynajmniej najżywszej czujności ze strony wszystkich, których dotyczy (a do tych należy miłujący porządek publiczny część społeczeństwa wszystkich politycznych obozów), stają się te rewolucyjne objawy tem ważniejszemi, skoro się wiążą z kwestyami narodowemi. Niemieccy socyaliści, jakkolwiek temu przeczą, są, cokolwiekbądź niemcami, z wszelkiemi błędami, ale i przymiotami swej istoty narodowej—tak, że niekiedy mogą rozprawiać i publicznie się zgromadzać, ale zapewne nie posiadają dość siły i energii, aby na wzór irlandzkich lub rosyjskich spiskowców pracować nad podkopaniem państwa.

Tam, w Poznaniu, jednakże widzimy na ławie oskarżonych członków narodu polskiego, młodych, szalenie śmiałych ludzi, którzy zapewne mieli jeszcze inne cele, a nietylko rozpowszechnianie Beblowsko-Liebknechtowskich idei, którzy przynajmniej widzieliby chętnie, gdyby obalenie istniejącego społecznego porządku poprzedził wywrót pruskiego państwa.

Odpowie na to kto może, iż dla polskiej propagandy nie może powstać gorszy nieprzyjaciel od żywiołu socyalistycznego, który gardzi wszelką ojczyzną i granicami językowemi ludów. Przynajmniej niemożna sobie pomyśleć silniejszego przeciwieństwa (?) od polskości ultramontańskiej barwy a radykalnemi ideami nowoczesnych rewolucyonistów. Mimo to przecież często bardzo okazywała się komunistyczna agitacya, jako dobre przygotowanie czysto narodowych usiłowań (pomyślmy sobie tylko o stosunkach irlandzkich), a tak może się też stać bardzo łatwo i w polskich ziemiach Prus, jeżeli się zawczasu temu nie zapobiegnie.

Oskarżeni, którzy teraz w Poznaniu czekają na wyrok sądowy, robią wcale inne wrażenie, aniżeli owi biedacy, o których w roku zeszłym sąd Rzeszy miał do wyrokowania w znanym procesie o zbrodnię stanu.

Czynili osobiste ofiary, aby działać dla swych przewrotnych idej, a jeden z nich, były uczeń uniwersytetu, nazwiskiem Padlewski, wyszedł zupełnie na wzór rosyjskich nihilistów, w przebraniu i z pozorami robotnika, z Genewy, komunistycznej Mekki, aby pod przybranem nazwiskiem podburzać polskich robotników, rzemieślników i chłopów.“

Do słów powyższych *Dziennik poznański* dodaje następujące uwagi:

„Nie przeczymy, że praktykuje się u nas i pośród naszej ludności socyalistyczna propaganda, ale niebezpieczniejsza od propagandy Mendelsohnów, Truszkowskich i Padlewskich, bo kiedy tych chwytają i więżą, traktuje się owa inna propaganda na drodze otwartej i bezkarnej.

Organem tej drugiej, traktującej się swobodnie propagandy—jest a przynajmniej była przed niedawnym czasom *Gazeta poznańska*, owa gazeta, rozdawana przez żandarmów i sołtysów, rozpowszechniana bezpłatnie, protegowana, patronowana — przez kogo, płacona z jakich funduszów — wiedzą bardzo dobrze tak tutejsza *Posener Zeitung*, jak tutejszy *Posener Tageblatt*, a mógłby i powinienby też wiedzieć tak wszystko, istnie po żydowsku wiedzący *Berliner Tageblatt*.“

Tylko, że ta druga propaganda bismarkowskiego socyalizmu jest stokroć jeszcze szkodliwszą.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Reforma wyższych szkół rolniczych. W puławskim Instytucie i w Piotrowsko - Razumowskiej akademii w Moskwie mają być zniesione z początkiem nowego szkolnego roku wydziały leśnictwa.

Zapis na uniwersytet dla kobiet. Pan Łojko nadesłał nam list, który poniżej, w imię bezstronności, zamieszczamy:

„Z powodu złej informacyi, podanej w nrze 26 *Prawdy* o moim zapisie na uniwersytet, komunikuję następne objaśnienie.

Ponieważ większość prasy wypowiedziała zdanie, że kapitał ten powinien być unieruchomiony prawnie, więc zastosowałem się do jej opinii w akcie urzędowym, spisanym przez regenta, Aleksandra Dziewulskiego w d. 23 maja b. r.

Rezultat mojej ofiary jest taki, że oburzyłem swoją familię, przeciw woli której uszczupliłem spadek o 20 tysięcy rubli—a przez kilka pism konserwatywnych zostałem zwymyślany publicznie za to, że ośmieliłem się podnieść kwestyę, dla nich niesympatyczną.

Lecz to wszystko nie wpłynie na zmianę mego postanowienia, i przyszły uniwersytet dla kobiet w Warszawie otrzyma przeznaczony kapitał.

W końcu roku wyjdzie z druku książka o dziesięcioletniej działalności Zakładu rękodzielniczego, w której pomieszczę i wyciąg z mego testamentu, dotyczący zapisu na uniwersytet. *Edward Łojko.*“

Przemysł. Pierwsza w kraju fabryka kaloszy gumowych powstaje w Warszawie, za rogatkami wolskiemi.

Stypendya. Słuchacze kursów farmaceutycznych przy uniwersytecie warszawskim otrzymali z zapisu p. Czabanowej dwa stypendya, po 300 rs: każde.

Marzenia rumuńskie. W Bukowinie wydana została niedawno mapa ziem rumuńskich, do których zaliczono nietylko przeważnie przez rusinów zamieszkałą Bukowinę, ale i całe Pokucie, w którem nawet na lekarstwo rumuna nie znajdzie.

Służące—czeszki. *Kuryer Warszawski* donosi, że kilka rodzin tutejszych zamówiło transport kucharek i pokojówek... z Pragi. Z jakiej racyi sprowadzać mamy obce robotnice, kiedy u nas tyle rąk naprożno poszukuje pracy, wie chyba tylko redakcya „wesołego pisma,“ którą fakt przytoczony niezmiernie ucieszył.

Niebezpieczna posada. Król Humbert zwracał się kolejno do wszystkich włoskich towarzystw asekuracyjnych, chcąc ubezpieczyć swoje życie na sumę 3,000,000 lirów. Pomimo, że król zgadzał się na opłatę jaknajwyższego premium, żadne Towarzystwo propozycyi nie przyjęło.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Іюля 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.